

# WALENTYNA.

DRAMAT

W PIĘCIU AKTACH



przełożył

D. C. Chodźko.

JK

## O S O B Y.

---

Księżę.  
Księżniczka Marja.  
WALENTYNA baronessa fon Geldern.  
FON WINNEG minister.  
FON GURTEN marszałek dworu.  
FON SZTOLPE porucznik.  
MILLER radca.  
JERZY WINNEG pod imieniem Zalfelda.  
ROBERT sługa baronessy fon Geldern.  
JOANNA jój pokojówka.  
Druga pokojówka baronowej.  
BENJAMIN, wióczęga, lotr.  
Arfiarz.  
Jego córka.  
Cygan.  
Dozorca więzienia.  
Nadworne damy i kawalerowie.  
Lokaje, słudzy traktjerowi, straż.

(Rzecz dzieje się w letniej rezydencji księcia).

---

AKT I.



SCENA I.

(Ogród w domu publicznym gościnnym, w głębi starzec przygrywający na arfie, córka jego przy nim śpiewa, Jerzy i Miller wchodzą i siadają u stołu pośrodku sceny).

JERZY, MILLER.

JERZY (przechodząc mimo traktjerowego sługi).

Szampana!

(Sługa wnosi butelki i szklanki i stawia je na stole).

MILLER.

Jeszcze raz, mój drogi, witam cię wróconego do ojczystej krainy.

JERZY.

Tyś pierwszy i podobno sam tylko poznał we mnie dawniejszego trzpiota Jerzego.

MILLER.

Niezmiernie się zmieniłeś, ogorzałeś... masz prawdziwie wojskową postać. No! opowiadajże mi teraz Winnegu!

JERZY (z uśmiechem).

Cyt! nie wydawaj mój tajemnicy, pamiętaj, że się nazywam Jerzy Zalfeld.

MILLER.

Zalfeld?.. lecz powiedz mi...



JERZY.

Rzecz to najprostsza w świecie, przypomnij sobie, iż kiedyśmy byli razem uczniami uniwersytetu, nasze ówczesne towarzystwa zbudziły podejrzenie rządu, i za te młodzieńcze szaleńcze uwięzionych oddano pod sąd. Tyś był mniéj, jak to powiadają, skompromitowany, nie prawdaż iż nareszcie po długich przeprawach i obrótach zładziłeś jakoś ze zwierzchnością? Teraz podobno służysz?....

MILLER.

Tak!... jestem radcą.

JERZY.

Winszuję. Czyś już żonaty?

MILLER.

Nie jeszcze.

JERZY.

Tém lepiej mój kochany. Cierpieć nie mogę terazniejszych waszych rachunkowych ślubnych stosunków. Mnie nie tak łatwo jak tobie się udało. Rodzony mój stryjaszek, wasz terazniejszy minister, bez najmniejszej mię przesładował litości. Osadzony w twierdzy, uciekłem. Zabroniono mi powrotu do kraju, udałem się więc do Ameryki ze szczupłym funduszem po moim ojcu pozostałym. Tam przepłynąłem Mississipi i o mało co na zawsze nie pozostałem wśród przesłicznych, dziewiczych lasów: nieraz zasiadałem na radach przyjaciół moich Indian, pojechałem potem przez Tęchasy i Meksyk konno do Ameryki południowej i długo tu i ówdzie się wagałem, to jak żołnierz, to jak myśliwiec. Teraz po piętnastoletniej niebytności, przez Anglję i Włochy, wróciłem do rodzinnego kraju. Po co?.. sam jeszcze nie wiem. Może dla tego, żeby raz jeszcze uszanować groby rodziców moich; bo choć różne przeżywszy koleje, wielu miałem szczerých przyjaciół; zawsze atoli czuję, że jestem sierotą na świecie!



MILLER.

Dziwny człowieku! pozostaniesz więc z nami?

JERZY.

Żaden ważny powód nie przykuł mię do stron obcych, a bardzo stęskniłem do rodzinnéj méj mowy i zwyczajów naszych. Wreszcie sam nie wiem czy się mi tutaj żyć uda. Nazbyt przywykłem już widzieć człowieka w całej jego pierwotnéj swobodzie... Lękam się, aby warunki ukształconego społeczeństwa, nie wydały się mnie nieznośne.

MILLER.

Możesz stać się pożytecznym swojej ojczyźnie... Zaczynamy się przebudzać...

JERZY.

Ach! wiem ja dobrze, że wy przez to wiele sobie wyobrażacie. Ale ja zostałem, mój przyjacielu, takim, jakim byłem, a dla podobnie przewróconéj szalonéj głowy, dwie rzeczy są tylko do wyboru.

MILLER.

Jakie?

JERZY.

Albo zdobyć się na kawałek ziemi i sadząc w niej kapustę, włączyć się kiedy niekiedy, w miarę możności, między moimi spółobywatelami, albo...

MILLER.

Albo?...

JERZY.

Kręcić się dalej po świecie, jak wiatr, do upadłego!... Jeszcze się nie namyśliłem, co z tego dwójga obrać.

MILLER.

A jakże długo zamierzasz przebyć w stolicy?

JERZY.

Krótko. Dzień dzisiejszy poświęcę pamięci mych rodziców, prócz tego zaś mam poruczenie do jednéj z piękności waszego dworu, baronessy Gelderni.

MILLER.

Do baronessy Geldern! Czy ją znasz?

JERZY.

Nie: przywiozłem do niej list i muszę się z nią jeszcze dziś zobaczyć. Co to za kobieta?

MILLER.

Ona?... ona jest klęską dla całego naszego kraju! Zimna i dumna zalotnica, oczarowała księcia, wszystkiem rozporządza u dworu i powiadają, że się nawet mięsza do polityki?...

JERZY.

Czy tak?

MILLER.

Wiadomo ci, że ślub naszego księcia z jego krewną Marją jest ważną dla kraju koniecznością.

JERZY.

Słyszałem o tém: rzecz idzie o spojenie w jedno dwóch drobiazgowych posiadłości.

MILLER.

Tak, właśnie. Otoż baroñessa Geldern jakby zły duch, staje w poprzek temu związkowi.

JERZY.

Może kocha księcia?

MILLER.

Co to do rzeczy należy.

JERZY.

Przepraszam, mój szanowny radco, owszem należy i bardzo!... Bo jeśli kocha księcia, natenczas jój uczucie może być wprawdzie dla was bardzo i bardzo nie dogodne, ale ona sama na wszelki zasługuje szacunek. Lecz jeśli zmyśla i kłamliwie uwodzi księcia; wtedy jest podłą, nikczemną obłudnicą.



MILLER.

Cokolwiek bądź, wszystkim prawie stała się tu nienawistną. Potrafiła przytém ować zaufaniem biédnej księżniczki Marji i obecnie zajmuje miejsce piérwszój ulubienicy i damy dworu.

JERZY.

Czy tak?... to jakaś widać zajmująca kobiéta.

MILLER. (wzruszając ramionami).

Piérwszą odegrywa rolę we wszystkich warjackich zabawach, które dwór tutejszy wyprawia latem.

JERZY.

Przestań, nie gniewaj się zacny Millerze! postrzegam wyraźnie, że ona nie podchodzi pod twoją klassyczną miarkę spokojnych cnót domowych.

(Podezas owój rozmowy, Benjamin zwolna, coraz bliżej, ukradkiem się podsuwa ku Jerzemu i chce mu z kieszeni wyciągnąć chustkę. Jerzy, który dawno nieznacznie podglądał wszystkie jego ruchy, szybko odwraca się w tójże chwili, gdy Benjamin wysuwa rękę; sam wyjmuje z kieszeni chustkę i kładzie ją na stole. Benjamin odskakuje z przestrawem).

JERZY (z uśmiechem nań spoglądając).

A co?

BENJAMIN (przybierając żałośną postać).

Ach! wielmożny panie! ulituj się nad biédnym ojcem rodziny; mam pięcioro drobniutkich dzieci, głód i zimno je dręczą. Nie będę w stanie dziś ich wykarmić, jeśli się pan nademną nie zlituje!.. Może się u pana znajdzie jaka zużyta bielizna dla przykrycia ich nagości, może jest u wielmożego pana, jaka para starych zdeptanych butów. Wszystko, wszystko przyjmujemy z wdzięcznością, jakby największe dobrodziejstwo!..

JERZY (śmiejąc się).

Przewybornie odegrał swoją rolę! Słuchajno mój kochany! odczep się proszę od tych pięciorga dzieci i porzuć swą przybraną żałośną minę, a dam ci za to cały talar!



BENJAMIN. (z chytrym uśmiechem)

Jak wola wielmożnego pana! Wyrzekam się przeto pięcioręga dziątek — i oto moja prawdziwa mina.

JERZY.

Widzę, że z tobą mieć można do czynienia (daje mu pieniądze). Pozwól mi jeszcze zadać sobie . . . , choć może i mniej grzeczne pytanie: co myślisz zrobić z temi pieniędzmi.

BENJAMIN (z uniżonością).

Obróćę je na kupienie chleba.

JERZY.

Zmińuj się! toby z twojej strony wielce zakrawało na głupstwo. Po co tobie kupować chleb, kiedy go możesz wszędzie znaleźć równym sposobem, jak tylko co, o małość nie znalazł mojej chustki od nosa.

BENJAMIN.

Widzę, że wielmożny pan, dobrego jest humoru i wesołe lubi żarciki. O! nie panie, chleb się nie znajduje, lecz nabywa. Trzeba też cokolwiek znać się i na pocziwości.

JERZY.

Wybornyś! jak się zowiesz?

BENJAMIN.

Benjamin, wielmożny panie, a rodzina moja Sztube. Całe więc moje nazwanie jest Benjamin Sztube.

JERZY.

Któreż z tych dwóch nazwisk istotnie do ciebie należy?

BENJAMIN (z ukłonem).

Benjamin. Pysznę się tém, żem w największym niebezpieczeństwie nie zmienił nigdy mego, danego mi na chrzcie imienia. Co do nazwiska Sztube, to, jak wielmożny pan trafnie się domyślałeś, jest utworem własnego mego wynalazku. Benjaminem zaś tylko zwali mię moi dobrodzieje.

JERZY.

A któż to są twoi dobrodzieje?

BENJAMIN.

Dobroczyńne miejscowe towarzystwa, wielmożny panie. Im to, obowiązany jestem, śmiało rzec można, całe moje na tej ziemi istnienie. Jedno z nich uszyło mi pieluszki, drugie się postarało, ażeby mię ochrzczono, potem przeszedłem pod opiekę trzeciego towarzystwa, które dziecinne sprawiało mi czapeczki, nakoniec czwarte umieściło mię w dobroczynnej szkole. Gdy zaś skończyłem rok dziesiąty, sam wszedłem w towarzystwo chłopaków sprzedających rzodkiew i bułki na rogu ulic, a za otrzymaną zapłatę różne zjadających łakocie. Poźniej inne znowu towarzystwo dobroczynne, kupiło mi przyzwoitą odzież, żebym mógł odbyć konfirmację. po odbytej u pastora nauce, poczem oddany zostałem do kuśnierza. Obrzydło mi to rzemiosło, zimą puch, latem mole, a kułaki i gderania caluteńki okrążyły rok! Uciekłem tedy od mego majstra i zostałem jeden na świecie, bez najmniejszej od nikogo pomocy: serce mi się rwało ku moim dobrodziejom, ku dobroczynnym towarzystwom. Otoż i wpadłem wnet w objęcia towarzystwa poprawy pozbawionych przytułku dzieci. Przez całą zimę poprawiany, wiosną wypuszczony zostałem. Z sercem przepelnionem miłością i z pustym żołądkiem, znowu się ujrzałem sam jeden. Natenczas przyłączyłem się do grona sług roznoszących pisma towarzystwa literackiego, i temu właśnie wypadkowi winienem nieco większe ukształcenie. Panowie nasi byli biędni, lecz raz dostrzegłem u nich tuzin łyżek srebrnych, które niezwłocznie obróciłem na korzyść swoją i przemieniłem sposób życia, następnie po dwóch latach zupełnego osamotnienia, wpadłem pod dozór towarzystwa poprawy oswobodzonych więźniów. I należę dotąd do niego, lecz pożytek ztąd lichy i przytém różne niedogodności...



JERZY.

Strzeż się tylko! abys nie wpadł w towarzystwo kręconego powroza. (Pokazuje na miגי, jak wieszają). Rozumiesz?

BENJAMIN.

Pod tym względem możesz być pan spokojny. Znam już dobrze, co to jest prawo.

JERZY.

Spodziewam się. A czy umiesz być tak ostrożnym w słowach, jak w postępkach?

BENJAMIN.

Siedem razy byłem pod sądem i sześć razy wymknąć się potrafiłem.

JERZY.

A pamięć twoja czy dobra?...

BENJAMIN.

Co do czynów mych własnych i postępków przyjaciół moich, nadzwyczaj jestem niepamiętny.

JERZY.

Znajomeż ci dobrze tutejsze okolice?

BENJAMIN.

Na każdą, choćby najdrobniejszą ścieżkę równie łatwo trafię w nocy, jak we dnie.

JERZY.

Jeszcze jedno pytanie: za jak długi czas ręczyć możesz, że przeżyjesz pocziwie?

BENJAMIN.

Pocziwie?... wielmożny pan tak dziwne zadaje pytania... Prawdę mówiąc, to trudno oznaczyć... wnosząc atoli z tego...

JERZY.

Pokusa nie będzie wielka.



BENJAMIN.

No, wielmożny panie, za jeden tydzień... może ręczyć śmiało potrafię; rozumie się jednak wtedy, kiedy nie będę głodny.

JERZY.

Benjaminie, czy zechcesz u mnie przyjąć służbę na dni trzy...

MILLER (z żywością do Jerzego).

Co robisz?

JERZY.

Nudzę się, a radbym wyrzucić tę duszę ze szponów szatana. W każdym razie nie więcej stawię na przepadłe, jak kilka guldenów... A co?... czy odważasz się Benjaminie?

BENJAMIN.

Na służbę... przez dni trzy... pocziwość... rozumiem... Jak wola wielmożnego pana... Spodziewam się, że pan nie raczysz należeć do policji.

JERZY.

Alboż sam tego nie postrzegasz?

BENJAMIN.

Dziwna umowa!... alem nie w stanie odmówić wielmożnemu Panu. Zgoda zatém... będę mu służył przez dni trzy.

JERZY.

I pocziwie?

BENJAMIN.

Pocziwie!

JERZY.

Dajże mi rękę. Teraz jeszcze dwa, trzy przyjacielskie słówka: Benjaminie, tyś na wskróś przesiękły łajdak.

BENJAMIN (kłaniając się).

Wielmożny pan, nader jest dla mnie pobłażający.

JERZY.

Zostałeś łotrem dla tego, żeś przechodząc z rąk do rąk, nie znalazł ani jednego ogrzewającego cię serca. Gdybyś napotkał kogokolwiek, do kogobyś mógł się przywiązać, pokochałbyś pewnie takiego człowieka. Otoż Benjaminie, ja chcę być dla ciebie takim człowiekiem; przez te dni trzy pokochasz mię o tyle, o ile zaskorupałe twe serce pokochać będzie zdolne. Służba twoja nie trudna, mam tylko jeden szpetny nałóg: śpię zawsze z otwartymi na oścież drzwiami, a przy mnie na stoliku leżą worek z pieniędzmi i zegarek. Ty będziesz obowiązany pilnować, żeby mi ich nie skradziono. Nie mrugaj na mnie Benjaminie i nie kiwaj tak głową. Lękasz się, aby mię pomimo tego ktokolwiek bądź nie okradł? Bądź spokojny, to nie nastąpi. Weźno z góry opłatę za dni trzy, oto mój adres. Jutro zrana przyjdiesz do mnie i rozpocznesz swój nowy obowiązek.

BENJAMIN (przeglądając pieniądze).

Samo złoto za trzy dni poczciwości i to już zapłacone z góry! Dobrze Panie, możesz polegać na mnie (odchołzi i po namyśle wraca). Może wszakże lepiejby było, gdybyś wielmożny pan, oddał mi te pieniądze jutro.

JERZY.

Czemuż to Benjaminie?

BENJAMIN.

Bo stać się może... lękam się bardzo... Miałem pana za człowieka rozumnego, a to już doprawdy ni w pięć ni w dziewięć!... Jeżeli teraz wezmę te pieniądze, to może i zapomnę powrócić jutro.

JERZY.

Prawda mój przyjacielu, w takim razie daruję tobie to złoto.

BENJAMIN.

Tfu do licha! (z niecierpliwością). Dobrze, dobrze, więc przyjdę.



JERZY (wola za odchodzącym).

Nie dziw się Benjaminie; dzisiaj wieczorem, postanowisz zapewne nie wrócić, ale pomimo tego nazajutrz niechybnie przyjdiesz. Do zobaczenia!

BENJAMIN.

Widać djabłu sprzedałem duszę. (wychodzi).

MILLER.

Spodziewam się, że owa powiastka o zegarku i worku z piędzmi, tak sobie przez ciebie wymyślona.

JERZY.

Owszem: jest w tém najistotniejsza prawda; leżą tylko przy nich nabite pistolety a sen mój niesłychanie lekki. No, teraz mój przyjacielu twoja kolej opowiadania.

(Hrabia Winneg, porucznik fon Sztolpe i jeszcze dwaj lub trzej oficerowie, wchodzą śmiejąc się i siadają u drugiego stołu; z przodu sceny zasiada hrabia Winneg, obrócony plecami do Jerzego).

FON SZTOLPE.

Winnegu! twój kasztan popsuł wczora nasz kadryl. Całą głową wysunął się na przód.

1-szy OFICER.

Jego kasztan?... Od kiedyż to należą doniego konie, przez niego tylko najmowane?... Powiedz raczej, kasztan żyda Markusa.

FON SZTOLPE.

W takim razie ten żyd kapitalne popełnia głupstwo, że powierza swojego konia takiemu jeźdźcowi. I Winneg i jego rumak niechybnie kiedykolwiek kark skręca.

WINNEG.

Jeżeli kiedy to nastąpi, wtedy cię zrobię zupełnym mym sukcesorem i będziesz miał przyjemność spłacania wszystkich długów moich.





FON SZTOLPE.

Boże uchwaj mię od tego! na same procenta od twych długów, nie stanie dochodów całego mego połku.

(Wszyscy się śmieją.)

FON SZTOLPE.

Ciekawa rzecz, kto zostanie zwycięzcą na dzisiejszych gonitwach.

WSZYSCY\*

Ja! ja! ja!

WINNEG.

Ten, komu się nie uda ani razu zerwać pierścienia, będzie musiał publicznie odegrać rolę pajaca i będzie miał prawo mówić wszelkie niedorzeczności damom. Wyborna rzecz, nie prawdaż?

FON SZTOLPE.

Wyborna! więc ty będziesz pajacem.

WINNEG.

Jeśli się mi to zamarzy. Choćby dla tego, żeby się trochę podrażnić z naszą Geldern.

1-szy OFICER.

A! baronessą Geldern.

2-gi OFICER.

Przecudna kobieta!

FON SZTOLPE.

Co to za postać!

WINNEG.

A jakie oczy! w nich pewnie dziesięciu przesiaduje szatanków.

FON SZTOLPE.

Całoroczną mą płacę oddałbym chętnie za jeden jej całusek.

WINNEG.

Fi! mój synu, nigdy nie należy opłacać kobiecych pocałunków. Okropnego w tym razie dopuściłbyś się marnotrawstwa. (Podczas téj rozmowy młoda arfiarka obszedłszy wszystkich i od każdego wzięwszy pieniądze; zbliża się do Winnega). Precz stąd obrzydliwa poczwaro!

(Arfiarka z przestachu upuszcza nóty i śpieszenie je podejmuje).

JERZY.

(głośno, lecz spokojnie, nie odwracając się wcale).

Co za grubijaństwo!

WINNEG (tymże tonem).

Co za głupia uwaga!

JERZY.

I w tych słowach wierutny fałsz. Pan nie jesteś obowiązany dawać, lecz także nie masz najmniejszego prawa krzywdzić kobiety, jakiegobykolwiek była stanu.

WINNEG.

Pan nie jesteś opiekunem publicznych dziewcząt.

JERZY.

I owszem, jestem nim w każdym razie, skoro tylko ktokolwiek śmie je krzywdzić bez żadnego powodu.

WINNEG

A dosyćże już tego! (dumnie powstając). Ktoś ty taki mój panie?

JERZY.

Zowię się Zalfeld. O pańskie nazwisko pytać nawet nie myślę, bo to, co już o nim wiem, nie wzbudza we mnie najmniejszej chęci zawarcia z nim bliższej znajomości.

WINNEG.

Czyś pan szlachcic?

JERZY (wstając).

Więcej niż szlachcic z rodu tylko—bom przez ciąg cały życia mego uczciwy człowiek.



WINNEG.

Wreszcie wszystko mi to jedno, zgadzam się nie pamiętać i na to, żeśmy sobie nierówni!... Pan mię obraziłeś, dość na tém.

JERZY (przerwywając mu chłodno).

Nie zapominaj pan o niczém, lecz się staraj poprawić swój pierwszy błąd, zamiast tego, cobyś miał do niego przydać jeszcze i drugi. Dla podtrzymania zuchwałego wyrazu, gotowes teraz odważyć się na bezecnie uchwalone zabójstwo. Samą tylko miałkością i płochością charakteru, można chyba wymówić tak obrzydły nierozum. Jużem razy kilka w mém życiu uległ nieszczęściu, będąc narażonym na zabicie człowieka, i wiem, jak to później dręczy i boli. Lecz pan nie możesz zmusić mię, abym użył przeciwko niemu mego oręża. (Obraca się do niego plecami.)

WINNEG.

A! niechże cię!...

FON SZTOLPE.

Ciszéj... Bóg wié, co to za człowiek.

WINNEG.

On mię obraził.

FON SZTOLPE (z cicha).

On szaleniec!

1-szy OFICER.

Coś pośredniego między kaznodzieją a katem...

FON SZTOLPE.

Daj pokój téj głupiej awanturze.

WINNEG.

Masz słusznosc, nie warto mieć z nim do czynienia.

(Wychodzą wszyscy uprowadzając z sobą hrabiego).

MILLER.

Co za fatalny wypadek! Hrabia Winneg jest ulubieńcem księcia.



JERZY.

Témci gorzej dla księcia. (Spogląda za odchodzącymi) Jednakowoż żal mi téj młodzieży! Ileż tu jędrnej, świeżej siły próżno marnieje! Dusze ich wędną w pustych warchołach drobiazgowej a częstokroć i występnej zabawy, i wreszcie nic nie pozostaje, prócz owego dziwaczego *pot-pourri*, przezwanego *honorem wielkiego świata*. Pójdźmy przyjacielu Millerze! (Przechodzi koło arfiarki, ta go chwytając za rękę żeby ją pocałować). Nie, moje dziecię, nie wierz jemu, tyś wcale miła i ładniutka. Tylkoż zmiłuj się nie tak bardzo przybliżaj się do mnie, bo tyś wdzięczna a ja nie Kato! (z dobrocią) Ja nie chcę, aby kiedyś tobie gorzkie o mnie pozostało wspomnienie. (Wszyscy odchodzą).

---

## S C E N A II.

(Salon w pokojach baronessy Geldern. Pośrodku drzwi, z lewej strony drugie, z prawej strony także drzwi, otwarte, poprzedzające balkon. Stół, taboret, wielkie zwierciadło pomiędzy dwójgiem drzwi).

WALENTYNA (podchodzi ku balkonowi).

Ach! jakiż on pocieszny!— (Schyla głowę i woła). Zefirku! przyjacielu Zefirku! Otoż i biegnie, jak pokojowy piesek.

MARSZAŁEK DWORU (z ogromną pod pachami księgą).

Królowo moja! precudna moja monarchini! otoż twój zefir przylatuje...

WALENTYNA.

Z takim ładunkiem w rękach. Co chcesz zrobić z olbrzymią tą księgą, panie fon Gurten. To wcale nie twój format.

MARSZAŁEK.

Ta ciężka księga, to *Conversations Lexicon*, aż mię porywa rozpacz, że się muszę uciekać do takiego potworu. Bo

widzisz pani, rzecz tu idzie o uroczystość ś. Walentyna. Jego książęca mość był w Anglji, Jego książęca mość chce włączyć do naszych świątecznych zabaw, angielski zwyczaj obchodzenia dnia ś. Walentyna. Wy wszystkie panie, jak wesołe ptaszeczki podlatujecie raźnie około księcia pana. A ja biędny nietoperz muszę ślęczyć, wymyślać, objaśniać robotnikom i dekoratorom wszystko... Nie zazdrość mi prześliczna bogini.

WALENTYNA.

Ja też ani myślę ci zazdrościć, lekkoskrzydły zefirku! Ale opowiedz mi, co twoja mądrość poczerpnęła z *Conversations Lexiconu*?

MARSZAŁEK.

Jutro, w dzień ś. Walentyna, w dzień imienin twoich, pełna wdzięków królowo! przed kadryllem i turniejami, każdy z naszych młodzianów dworu, połączy się z damą, którą od-tąd przez cztery tygodnie będzie obowiązany otaczać swą uprzejmością i opieką, i będzie miał prawo starać się wzajem o jój względy. Lecz ponieważ Jego książęca mość, uważał, że wolny wybór dam, oraz inne szczegóły angielskich zwyczajów, nie są zupełnie tutejszym stronom dogodne; zalecił więc, aby połączenie każdej pary, zostawić trafowi losu, nie zważając bynajmniej ani na stan, ani na dostojność urzędu.

WALENTYNA.

Rozumiem.

MARSZAŁEK.

Pojmujesz zapewne i to pani, jaki ciężki obowiązek spadł na mnie.

WALENTYNA.

My go za to uwieńczymy różami.

MARSZAŁEK.

Co zaś najokropniejsza, że książę pan rozkazał mi, aby jutrzejszą uroczystość od stosownej rozpocząć mowy, a na



sam koniec trwających przez miesiąc zabaw, przedstawić wielkie dramatyczne widowisko, idyllę, w rodzaju owych, jakie to kiedyś herr fon Gete pisywał dla jaśnie oświeconych książąt w Wejmarze. Prześliczna baronowa, obiecała mi wynaleźć zręcznego poetę z wyobraźnią i dobrym smakiem, oraz gładziutkiem wystowieniem....

WALENTYNA.

Zdaje mi się, żem już znalazła podobnego człowieka; dzisiaj go jeszcze panu przyszlę.

MARSZAŁEK.

Przewybornie!

Ciż sami i ROBERT.

ROBERT (otwierając podwoje).

Jaśnie oświecony książę pan! (wychodzi)

KSIĄŻE (wchodząc).

Spisek! widoczny splicek! Kiedy piękność i mądrość naszego fantastycznego grona, połączą się w jedno, natenczas serca wszystkich młodych rycerzy, muszą uleść niechybnj zgubie. Pani dawałaś rady?...

WALENTYNA (z uśmiechem).

Słuchałam tylko.

KSIĄŻE.

Jakże się te pokoje wydają? lękałem się, by nie były za ciasne.

WALENTYNA.

Zupełniem tu szczęśliwa; zachwyca mię ta nadpowietrzna sala, wiosna ze wszech stron wciska się do niej ze swemi powabami. Zabroniłam zmiatać kwiaty i liście, które wiatr tutaj przynosi i ściele u stop moich. Jedna tylko rzecz psuje wrażenie poetycznej mojej samotności: oto nie mogę nawyknać do widoku żołnierza, stawianego zwykle u mnie tu przy balkonie na straży. Jego broń błyszcząca groźnym bagnetem,

niezmiernie prozaicznie zarysowuje się na tym cudnym krajobrazie.

KSIĄŻE.

Rozrządź się fon Gurten, żeby ta straż natychmiast zdjęta została.

MARSZAŁEK (na stronie).

Jam teraz tutaj nie potrzebny. (głośno) Mądrość bierze swe księgi i najgłębsze oświadcza uszanowanie. (odchodzi).

WALENTYNA (zbliża się do stolika).

Winnam korzystać ze szczęścia widzenia Waszój księżęcjej mości, bez świadków. Tylkom co otrzymała przez uboczną zręczność ten oto list. (bierze go i podaje).

KSIĄŻE (na stronie).

Co za przekora! i właśnie jeszcze w tój porze! (głośno) Od mojej ciotki, tytczący się handlowej umowy. (czyta) Więści ważne, trzeba je tylko udzielić ministrowi Winnegowi. Baronowo! jesteś nie tylko najcudniejszym blaskiem piękności u mojego dworu, lecz nawet ludu mego opiekuńczym aniołem.

WALENTYNA.

Jestem w tym razie nic więcjej, jak tylko owym gołąbkim pocztarskim. Cieszę się, żeś książe znalazł w tym liście przyjemne wiadomości.

KSIĄŻE.

Pismo to obudza we mnie najpiękniejsze nadzieje, lecz przybyło wcale nie w porę, bo mię wcześniiej od niiej oddała. Chcę aby w dzień uroczysty ś. Walentyna, sam los jedynie połączył rozdzielone pary (bierze jój rękę). Nieporównana Walentyno! będziez ci to przykro, jeżeli traf losu da mi zostać twoim rycerzem?

WALENTYNA.

I los miewa swoje kaprysy. Co do mnie, taki jego kaprys uważać będę dla siebie za szczęśliwy.



KSIĄŻĘ (w uniesieniu, całuje jej rękę szepejąc):

Bądź zdrowa moja Walentyno! (odchodzi).

WALENTYNA (sama, zamyślona).

Jego Walentyna! (postawszy przechadza się po pokoju) Przez cztery tygodnie tak ścisłego związku, rycerskich uprzejmości, zalotniczych nadskakiwań... Cóż one zrobią ze mnie? Małżonkę księcia, albo jego... (Dumnie) Tu nie może być albo; mylisz się mości marszałku dworu, jeżeli na to godzisz (siada). I cóż mi książę? Przystojny... to fraszka; lecz przytém młody, lekkomyślny, wrażliowy, poważający mię... Zostać żoną takiego człowieka?... czyż to mię wzniesie lub poniży?... Przeczuję, iż nastąpi stanowcza życia mojego chwila. (Siada zamyślona).

KSIĘŻNICZKA MARJA.

MARJA (wbiegając).

Tys jedna Walentyno? i takeś zadumana.

WALENTYNA (powstając).

Wasza książęca mość!...

MARJA.

A porzuć te ceregiele, wszak wiész dawno, jak ich cierpieć nie mogę. Zostań na swoim krześle, a ja siądę ot sobie tutaj przy nogach twoich. Umknęłam od moich dam dworskich, by pogawędzić z tobą. (z ciekawością) Walentyno! książę tylko co był u ciebie? Czegoż tu chciał?

WALENTYNA (z uśmiechem.)

Chciał pobawić się, poszarmantować trochę, lecz sprawa krajowa stanęła mu na przeszkodzie.

MARJA.

Spotkałam go u rotundy, wcale dobrego nie okazywał humoru: owszem był tak posępny, tak zimny...

WALENTYNA.

Bardzo teraz zajęty.

Walentyna.

MARJA.

Oj, pomęczę go za to, pomęczę, aż przez całe cztery tygodnie! Och! jakżem szczęśliwa, Wally! Odegramy komedję pod otwartym niebem.

WALENTYNA.

Tak Marjo i mniemam że odegrasz swą rolę przewybornie.

MARJA (z żywością).

A w jakiejże to sztuce? Zefir mówi, żeś już znalazła autora, lecz go dotąd, nie wiadomo dla czego, ukrywasz.

WALENTYNA.

Zefir, według swego ulubionego zwyczaju, troszeczkę odleciał od prawdy. Mam na widoku jednego człowieka, lecz nie wiem jeszcze, czy on pisze wiersze lub nie?... W każdym jednakże razie, łatwo on potrafi upięknąć swemi piórkami, słabe skrzydła naszego Zefira.

MARJA.

Ktoż on jest?...

WALENTYNA.

Niejakiś Zalfeld, przyjezdny, wręczył on mi list od mojej przyjaciółki Ledy Penelopy, która teraz przebywa w Syrakuzach, wspomina o jego dekoratorskich zdolnościach. Wreszcie odzywa się o nim dosyć zagadkowo... sama osądź: (bierze ze stołu list i czyta)—pisanie to moje wręczy ci P. Zalfeld. Prosił mię, abym nic o nim przed tobą nie wspomniała, napomknę ci jednak to, że prawdziwie czarownym sposobem ozdobił i ubrał me pokoje, i że w tej chwili właśnie, strzela do celu z moim mężem.— To już zbyt wiele może albo za mało.

Cią sami i ROBERT.

ROBERT.

Pan Zalfeld.

MARJA (śpiesznie powstając).

Ach!... i ja go chcę zobaczyć.



WALENTYNA.

Marjo! zastanów się... czy będzie to przyzwoicie?

MARJA.

Ukryję się tutaj za zwierciadłem, a potem wymknę się zreszczenie za drzwi...

WALENTYNA.

Jednakowoż....

MARJA.

Ani słowa. Chcę tego koniecznie. (Kryje się za zwierciadłem),

Ciż sami i JERZY.

JERZY.

Pozwoliłaś mię odwiedzić siebie, pani baronowo?

WALENTYNA.

Pragnęłam podziękować za list, przez pana mnie przywieziony i poprosić abyś mi ustnie raczył obszerniej opowiedzieć o Ledy Penelopie. (Robert podaje krzesło Jerzemu i odchodzi).

JERZY.

To jest precudna istota! Ledy Penelopa i jój szlachetny małżonek, mają dar rozpostrzeniania swego szczęścia i na wszystkich otaczających siebie. Ich życie jest tak czyste i jasne, jak niebo, pod którym obecnie przezywają.

WALENTYNA.

Tak, dla tego są szczęśliwi, że dobrzy.

JERZY.

Dla tego: że są i niezależni i potężni, baronesso!

WALENTYNA (na stronie).

Teraz pojmuje list. To człowiek zajmujący.

JERZY (na stronie).

Tam za zwierciadłem postrzegam dwie przesłiczne nóżki, zaraz je zmuszę do odwrótu.

WALENTYNA.

Czy nie masz pan do mnie jakiego poruczenia?

JERZY.

Ledy Penelopa, przesyła jej szkic ozdób nowych swoich pokojów; mnie zaś poruczono ubrać bawialny pokój pani, właśnie podług tego rysunku, ażeby pani częściej wspominała odległych swych przyjaciół. Proszę mi więc pozwolić przedstawić wszystkie swoje meble, zacznę zaś od tego zwierciadła z znózkami, które wyraźnie na właściwem sobie nie postawione miejscu. Lecz wprzód potrzeba mi poprawić niektóre omyłki w rysunku. (zbliża się ku stolikowi i coś zarysowuje ołówkiem).

MARJA (na migi żegna Walentynę i odbiega).

JERZY (na stronie).

Malutkie nóżki już zniknęły. (głośno wesółym tonem) Patrz pani, oto cały rysunek baronesso!

WALENTYNA (na stronie).

To człowiek wcale zajmujący. (nieznacznie spójrzawszy na rysunek) Widzę że pan masz wiele gustu i żywej wyobraźni. Długo podróżowałeś i przypatrzyłeś się mnóstwu rozmaitych ludzi, którzy mu pewnie wiele przyjemnych i pocieszających zostawili w pamięci wrażeń.

JERZY.

Ja trzymam się filozofji letniego owadka, mszycą zwanego. Każdego człowieka można przyrównać do rośliny, każdy człowiek, choćby najgorszy, ma gdziekolwiek ukryty swój kwiat — a tym kwiatem, jest uczucie serca człowieka, odszukiwałem je wszędzie i starałem się przenikać jak najgłębiej.

WALENTYNA.

Ach! sam tylko wzrok bóstwa zdolny jest zawsze rozpoznać, gdzie się ukrywa prawdziwie czyste i dobre uczucie w każdym człowieku.



JERZY.

Rozumie się dobry początek często bywa głęboko utajony, a w niektórych nigdy się nawet nie objawia. U wielu też wyraża się samą tylko bardzo niejasną dążnością. Polubił mię raz kupiec, handlarz murzynami, żem się zlitowałem nad biednym, chorym psem jego. Takich ludzi zowią nocnymi kwiatami, dla tego, iż same najpiękniejsze ich przymioty, nie wykazują się na jaśnie.

WALENTYNA.

Ach prawda! rozumiem pana, lecz pan zapewne nazwiesz tylko szczęśliwymi takich ludzi, których lepsze zdolności rozwinęły się przy pełnym blasku słońca?

JERZY.

To są ludzie dzienni, chwilowi.

WALENTYNA.

Do któregoż rzędu mnie pan przyłączysz, mości filozofie?

JERZY.

Życie pani świetne, rozrywkowe, uczucie jój głębokie, dusza silna.—Pani, jesteś nocną pięknoscią.

WALENTYNA.

Masz pan słusność...

JERZY (na stronie).

Ona nie jest rada ze swego życia, ona nie kocha księcia.

WALENTYNA.

Czemużes pan nie chciał, aby Ledy Penelopa pisała do mnie o nim?

JERZY.

Bo znieść nie mogę podobnych zalecań i chciałem, abyś mię pani sama bezstronnie osądziła.

WALENTYNA.

Czy mówiła co o mnie?

JERZY.

O! i nieraz, ito z jak najżycziwsiém uczuciem. Długom przysłuchiwał się temu dość obojętnie, lecz jedno słowo twoje pani, które powtórzyła przedemną Ledy Penelopa, wzbudziło we mnie, nie przełamaną niczém chęć poznania jój...

WALENTYNA.

I cóż to ona powiedziała panu?

JERZY.

Kapałyście się razem u jednego z malowniczych wybrzeży włoskich, wtém przyjaciółkę pani, potężna chwyta fala. Nie mając siły ją odeprzeć, cała w niéj pogrążona, wyciąga tylko rękę do pani. Natenczas śmiało rzucasz się jój pani na pomoc, passujesz się z ryczącą falą, naostatek udaje się ci schwytać rękę tonącój i przyciągnąć na pół zmartwiałą ku brzegowi. Pamiętaszże pani, jakie wtedy piérwsze wyrzekłaś słowa, kiedyś prawie zemdlona, ocuciłaś się bezpiecznie na brzegu?...

WALENTYNA (rumieniąc się).

Dziecinna chępliwość.

JERZY.

Rzekłaś śmiejąc się:—szkoda, żeśmy się ocaliły, umarłybyśmy przynajmniej bez wieczystych naszych gorsetów.— Posłyszawszy o tém, zaraz tegoż wieczora, prosiłem Ledy Penelopę, żeby przezemnie napisała do pani.

WALENTYNA (na stronie).

To człowiek niebezpieczny (głośno, wstając).

Wyznać muszę, panie Zalfeld, że zaoczne me o nim zdanie, nie bardzo było dlań pochlebne. Z jednego wyrażenia się Ledy Penelopy, wniosłam, że pan masz tylko sobie mały talencik, i zdasz się na pomocnika marszałkowi dworu, fon Gurtenowi, mającemu poruczenie urzędzenia naszych



tutejszych rozrywek. Książę pragnie, abyśmy zaimprovizowali po angielsku dramatyczne zabawy na cześć ś. Walentyna. Teraz postrzegam, że nie godzi się wcale prosić pana o pomoc w tym względzie, i dla kary za fałszywe o nim wyobrażenie moje, sama pokornie przyznaję się do winy.

JERZY.

Owszem pani, z największą chęcią gotów jestem na wszelkie-jęj usługi i wnet się zapoznam z panem fon Gurtenem.

WALENTYNA.

Zadziwiasz mię pan.

JERZY.

Ośmielę się tylko mały jęj przedstawić warunek.

WALENTYNA (uśmiechając się).

Z góry się nań zgadzam.

JERZY.

Warunek mój, baronesso, zależy na tém, abyś mi dozwoliła zwierzyć sobie dwie moje tajemnice.

WALENTYNA (z wahaniem się).

Nie wiem, czy będę mogła... (grzecznie.) czy będę mogła w czémkolwiek dopomódz panu?...

JERZY.

Czy będziesz pani mogła, czy nie... zawsze jednak nie byłbym w stanie dłużej ją widzieć, gdybyś pani nie zgodziła się na wysłuchanie mię...

WALENTYNA.

Dziwna rzecz! Dobrze zatém, słucham pana.

JERZY.

Imię Zalfelda przybrałem tylko sobie, wróciwszy tutaj z Ameryki. Rzeczywiście zaś zowie się Jerzym Winnegiem i jestem rodzonym synowcem tutejszego ministra.

WALENTYNA.

Jak to?...

JERZY.

Studentem jeszcze będąc, wysłany zostałem, z powodu politycznej burzy. Teraz po piętnastoletniej nieobecności, wracam do ojczyzstego kraju. Nikt mię tu nie zna, stryj nienawidzi, prześladowuje mię. Jeszczem nie otrzymał pozwolenia, by wrócić tutaj. A chociaż surowość rządowych postanowień, złagodziła się znacznie, i mogę się już teraz spodziewać przebaczenia; dotąd jednakże zawsze jestem wygnanym. (śmiejąc się). Tak więc! teraz, baronesso, dosyć jednego twego słowa, abym został stawiony przed sąd.

WALENTYNA.

Dziękuję mu za tę ufność. Minister Winneg nie należy do rządu przyjaciół moich, tém więc snadniej przyjąć mogę opiekę nad wygnanym jego krewnym. A drugaż twoja tajemnica, panie, jestże również przestępstwem stanu?

JERZY.

Ach! tak jest i to już nawet przeciwko tobie samój, baronowo! Książę z zapałem wyszukuje sposobów najświetniejszego obchodu dnia ś. Walentyna, panią zwą Walentyną, zapewne więc pani będziesz królową uroczystego obchodu?

WALENTYNA.

Co to pan mówić raczysz?

JERZY (z szyderskim uśmiechem).

Lecz ja nie mam zamiaru ustąpienia jego książęcej mości, tej Walentyny?...

WALENTYNA (z powagą).

Taki maskaradowy żarcik, przyzwoity samym tylko dworakom. (śpiesznie odchodzi).



JERZY (sam).

Przecudowne stworzeńko! W niej właśnie tyle przebiegłości, ile potrzeba, prawdziwej, co się zowie, kobiecie. Teraz mi wypada pośpieszyć do marszałka. Wybornie, wybor-  
nie królowo wdzięków! Jutro będziesz Walentyną biednego  
wygnańca!

---

## AKT II.

---

### S C E N A I.

(Park).

JERZY, MARSZAŁEK DWORU.

MARSZAŁEK.

Wszystko to najprzewyborniej obmyślano, panie Zalfeldzie. O jedenastej zrana, trąby dają hasło rozpoczęcia uroczystości. Damy wszystkie w jednostajnych strojach! Widziałem ten strój, niezmiernie okazały. Przechodzą ciemną aleją ku malutkim zasłoniętym namiotom. Co to za cacka te namiociki! Pan wyraźnym jesteś czarodziejem, kochany Zalfeldzie! Każda dama wchodzi do osobnego namiotu. Potem znów odzywają się trąby, grzmi muzyka wojskowa, i rycerze w precudnym ubiorze z czasów Henryka IV, konno, po parze, podjeżdżają z drugiej strony ku zasłoniętym namiotom: i zsiadają ze swych rumaków. Każdy rycerz wybiera namiot i wiesza na nim swoją szarfę. Odślaniają się

namioty i wychodzą damy, a rycerze klękają i przyjmują z rąk ich szarfy damskie. Każda dama wkłada na siebie szarfę swojego Walentyna. Następuje potem uroczysty pochód, wielkie turnieje, to jest zdobywanie pierścienia, damy rozdają nagrody. O! zaczęły się u nas szczęśliwe dni!

JERZY.

Bardzo rad, że potrafił zyskać potwierdzenie pańskie. Teraz dozwól mi zadać sobie drażliwe nieco pytanie.

MARSZAŁEK.

Pytanie?... i to jeszcze drażliwe?... Cały przemieniam się w słuch.

JERZY.

Zostawiono ślepemu losowi, skojarzenie się par. Lubo to jest surowy rozkaz jego książęcej mości...

MARSZAŁEK.

Nie inaczej: i to jak najsurowszy.

JERZY.

Zawsze jednakowoż możnaby w pewnym stopniu uprzedzić niedogodności wyniknąć mogące z podobnych wydarzeń.

MARSZAŁEK (z uwagą).

W zupełności pojmuję to ostrożne napomknienie pańskie... lecz zostaw już to mnie szanowny przyjacielu!

JERZY (na stronie).

Ani wątpić, chcą oni połączyć baronesę z księciem. (głośno). Jeśliś to pan wszystko przewidział, to znaczy, że ja całkiem napróżno...

MARSZAŁEK.

Jak to?... cóż to takiego?...



JERZY.

U drugiego namiotu nad obu wejściami, nad wejściem do dam i wejściem do rycerzy, umieszczono róże białe.

MARSZAŁEK.

Wybornie, mój przyjacielu, przewybornie!

JERZY.

Baronowa Geldern, nieznacznie dała do poznania, że bardzo lubi białe róże: to obudziło we mnie myśl...

MARSZAŁEK (na stronie).

Alboż to baronowa sama już nas uprzedza? a tak! widać on działa stosownie do jój poruczenia. (głośno) Więc baronowa, sama to panu napomknęła?... przewybornie, prześlicznie!

JERZY (na stronie).

On się dziwi, więc nie są pewni Walentyny, chwała Bogu!

MARSZAŁEK.

A zatem baronessa Geldern będzie w drugim namiocie?...

JERZY.

Tak mniemam... i sędzę, że mogę to powierzyć panu, bo, jak ze wszystkiego widać, baronessa pragnie mieć pana swoim Walentynem.

MARSZAŁEK.

Jak to?... mnie!... (na stronie) oszukali biedaka! (głośno) Tak... zapewne.. spodziewam się mieć ten zaszczyt... Jednakże powinienem natychmiast o tém donieść jego książęcjej mości...

JERZY (na stronie).

Poddaje się (głośno) jeszcze słówko, mości marszałku, jeszcze przewiduję zawadę.

MARSZAŁEK.

Co?... zawadę?...

JERZY.

Gdy się damy zbiorą, żadna z nich rozumié się, nie wejdzie do, swego namiotu piérwój od księżniczki Marji. Coż będzie wtedy, kiedy księżniczka, zniénacka sobie wybierze namiot z różami białemi?...

MARSZAŁEK.

Ach! to byłoby okropnie, zabójczo!...

JERZY.

Dla tegoż byłoby bardzo dobrze, gdybyśmy mogli dać stopom jój księżniczkowskiéj mości, inny, bezpieczniejszy kierunek.

MARSZAŁEK.

Przecudnie się pan wyrażasz.

JERZY.

Zróbże tak, panie marszałku.

MARSZAŁEK.

Ja?... ja, mam zawodzić... skierować jój książęcą mość? ... to nie podobna!...

JERZY (z westchnieniem).

W takowym razie, ta powinność, jak uważam, spadnie na mnie.

MARSZAŁEK.

Jak sobie pan chcesz...

JERZY.

Nasamprzód, pozwól mi pan zadać sobie pytanie: czy księżniczka spodziéwa się, iż ją trafem radby wynaleźć jego książęcą mość?...

MARSZAŁEK.

Z tém też właśnie i kłopot... (postrzegłszy się) przynajmniéj etykieta...

JERZY (na stronie).

Zaczynam przenikać wszystkie tajemnice tego dworu, księżniczka kocha księcia. (głośno) Wszystkoby można tak urządzić



namiot z białą różą będzie dla pana i dla baronowej, pozostaje tylko zjednoczyć księżniczkę z księciem w namiocie pierwszym. Biorę na siebie uwiadomić o tém księżniczkę, a pan pomówisz z księciem.

MARSZAŁEK.

Doskonale! *(na stronie)* Niech on wyprawi księżniczkę do namiotu pierwszego, książę i baronowa spotkają się w drugim, hrabia Winneg weźmie księżniczkę. Cała zaś potem wina! spadnie na tego plebejusza.

JERZY.

- Ależ w tym celu trzeba, abym był przedstawiony jeszcze przed uroczystością księżniczce... czy się to da załatwić?

MARSZAŁEK.

Widzę, że to rzecz nieodzownie konieczna. Zgoda zatem! Teraz księżniczka przechadza się po ogrodzie i rozkazano, ażeby nikt jój nie przeszkadzał. Lecz na ten raz odważę się być nieposłusznymi postaram się abyś pan spotkał się z księżniczką. Na tém właśnie miejscu, przedstawię go jój wkrótce, jakby przypadkowie.

JERZY.

Bierzesz więc na siebie, panie marszałku, skierowanie jój kroków tutaj; w samój rzeczy, miejsce to samotne, nikt zatem nam nie przeszkodzi.

MARSZAŁEK.

Dobrze, przywiodę ją tu. Do zobaczenia. *(na stronie)* On mi wyciągnie gorące kasztany z ognia. *(wychodzi).*

JERZY.

Widzę na skrós wszystkie przebiegi twoje, mości marszałku. Książę chce spotkać się z Walentyną, a księżniczka spodziewa się ujrzeć księcia. Książę stanie przed namiotem z różami, sądząc, że wyjdzie zeń baronowa, lecz ja mu po-

Walentyna.

deszlę księżniczkę Marję. Walentyny zaś nikt z nich nie wy-  
najdzie. Teraz, królu Oberonie! przyslij mi w pomoc naj-  
bystrzejszego ze swych duchów.

BENJAMIN.

(przyzwicie ubrany, w jednej ręce trzyma kapelusz, drugą, zaś go ustawi-  
cznie podgladza, przesuwając po nim swój rękaw).

Kapelusz z prawdziwego zajęczego puchu i całkiem prawie  
nowy. Ot teraz i ja pan! A dla mnie tak to wszystko i za-  
dziwiające i nowe! i wielmożny pan na chwilę mi nie wycho-  
dzisz z głowy, (wyjmuje z kieszeni szczotkę i oczyszcza nią suknie Jerzego).  
Proszę pozwolić, pan całyś osypany kwiatami, teraz wiosna  
i w przyrodzeniu wszystko się ożywiło. (z wymówką) A chustka  
znowu u pana wystérknęła z kieszeni! Za pozwoleniem, scho-  
wam ją. (z powagą) Wielmożny pan powinienes być nadal ostró-  
źniejszym, bo lud tutejszy nieśtychanie złodziejski.

JERZY.

Gościwie, jak uważam, spełniasz umowę naszą, dobry Ben-  
jaminie, i wielce to mię cieszy. Słuchaj: radbym zdziałać  
jedną rzecz dobrą, chociaż, przyznam się, nie zupełnie pro-  
ściutką drogą. Tyś mi dopomódz powinien, przyjacielu ko-  
chany, lecz na część twoją nie przypadnie żadna nieprawda.

BENJAMIN.

Jeśli nieprawda także jest zakazana w umowie naszój, to  
bardzo się cieszę, że ją pan raczysz brać na siebie.

JERZY.

Spodzielam się, że ten grzech odpuszczony mi będzie. Czy  
nie znasz tu w pobliżu jakiego samotnego zupełnie zakąta?

BENJAMIN.

Tam, na rogu parku, kroków ze trzysta stąd, jest sztu-  
czna grotka z wodotryskiem, lecz ten wodotrysk oddawna już  
zepsuty. Do grotki nikt prawie nie przychodzi, ona zaś jest  
wyborną uchroną przed dęszcem i ciekawemi oczyma: przy-



znam się panu, że sam często się tam oddalałem od zgiełku światowego i marności ziemskiej.

JERZY.

Dobrze więc, bieźże do groty i oddal wszystkich, kogo tylko spotkasz w pobliżu.

BENJAMIN.

Nie nad to łatwiejszego. Gotowym użyć powagi imienia księcia i nałożyć zaprzeczenie, aby nikt do tego zakąta parku, w żadnym względzie nie rościł prawa.

JERZY.

Wychodź prędzej. Ktoś tu nadchodzi. (Benjamin zmyka).

KSIĘŻNICZKA MARJA I DAMA.

JERZY (z uszawnowaniem oddaje ukłon).

MARSZAŁEK.

To pan Zalfeld, dowcipny urzędzca naszej zabawy.

JERZY. (na stronie).

Zda mi się, że już znam tę malutką nóżkę.

MARJA (z lekkim ukłonem).

Bardzo rada, że się z nim zapoznała. Wiele mi powiadano o nim.

JERZY.

Będę się starał zasłużyć na łaskę waszej książęcej mości.

MARJA.

Tylkom co otrzymała programat naszej uroczystości. On jest podobno utworu jego?... nie prawdaż?... jakże to musi być miło, tyle umieć przyjemności sprawiać dla innych?

JERZY (pół głosem do marszałka).

Czy mnie wypada napomknąć o umówionym znaku w obecności pańskiej?...

MARSZAŁEK.

A! broń Boże!

JERZY.

Więc pan zajmij się frejliną. (marszałek oddala się z frejliną). Nie-  
stety! wasza książęca mość! Na naszym jasnym niebie, zna-  
lazła się chmurka.

MARJA (żywo).

Czy się co wydarzyło?

JERZY.

Nic ważnego, nieprzyjemność zupełnie pospolita. Barono-  
wa Geldern... Proszę tylko waszą książęcą mość, wysłuchać  
mnie spokojnie i obojętnie, bo na nas patrzą.

MARJA.

Mów pan.

JERZY.

Baronowa Geldern, nie będzie na dzisiejszej uroczystości.

MARJA.

Walentyna?... nie będzie!

JERZY.

Prosi ona, abyś wasza książęca mość nie dziwiła się temu  
jej postępkowi.

MARJA.

Nie rozumiem pana.

JERZY.

U dworu zjawili się intryganci, zawistni baronowej Geldern  
i chcący ją nikczemną potwarzą, usunąć ze względów waszej  
książęcej mości. Przeciwno etykietce, i, jak mam podejrze-  
nie, przeciwno woli samego księcia pana, chcieli tak rzeczy  
ułożyć, aby baronowa była jego Walentyną.

MARJA.

Przeczuwałam coś podobnego! I toby trwało aż przez czte-  
ry tygodnie!

JERZY.

Baronowa przypadkiem dowiedziała się o tym spisku i obu-  
rzyła się nim niezmiernie. Dla tego więc prosi o pozwolenie



nie znajdowania się na zabawach pod pozorem słabości zdrowia, żeby do razu położyć kres tym tak niedorzecznym intrygom.

MARJA.

Dobra Walentyna! O! tak, tak, ona powinna zostać w domu.

JERZY.

Żeby zaś uniknąć nieprzyjemnych rozpytywań, pragnie przebyć dzisiejszy dzień w mieście. Ale ponieważ jój powóz za nadto zwróciłby uwagę, jako powszechnie znajomy, uprasza więc waszą książęcą mość o nadesłanie jój swojej lektyki.

MARJA.

I owszem i owszem, téjże nawet minuty, i niech zatrzyma u siebie, dopóki będzie chciała.

JERZY.

Mam też poruczenie przynieść p. baronowej, kilka słówek własnoręcznych W. Ks. M. a to na dowód: że W. Ks. M. zgadasz się na jój żądanie. Marszałek tu spogląda a czas drogi. Może W. Ks. M. raczysz upuścić chustkę.

MARJA.

Rozumiem. (upuszcza chustkę) Czy tak?

JERZY (podejmuje i podaje).

Wybornie! Tu w chustce jest kawałek papieru z mego pugillaresu i ołówek. Baronowa prosi, żeby W. Ks. M. raczyła jój dać znać, że lektyka wprost przez nią jest wysłana, ja zaś uproszę jeszcze od siebie W. Ks. M. jeżeli można, o dodanie, że cała ta rzecz najmniejszej nie cierpi zwłoki.

MARJA (pisze i mówi).

»Posyłam ci lektykę, wyjeżdżaj natychmiast bez najmniejszej odwłoki.« Marja.

JERZY (szybko chwytając karteczkę).

Dzięki W. Ks. M.

MARJA.

To my powinniśmy dziękować panu. Lecz proszę objaśnić mi...

JERZY (z uszanowaniem).

Przebacz W. Ks. M. że nie odważę się na żadne objaśnienia. Pozwól służyć sobie, lecz strzeż się zbyt zawierzającej wesołości, pogodnej, jasnej swojej duszy. Żadne pokątne brudy, nie powinny mącić twojego spokoju.

MARJA (z uczuciem).

Ufam i wierzę panu.

JERZY.

Więc W. Ks. M. pozwala mi rozrządzić się jój lektyką?

MARJA.

Nie inaczej i natychmiast stosownie wydam do tego rozkazy.

JERZY.

Lecz nikt, nawet sam książę, nie powinien wiedzieć, o czym jój tu doniosłem.

MARJA.

Bądź pan spokojny.

JERZY.

Baronowa poruczyła mi jeszcze powiedzieć, że nad wejściem do drugiego namiotu, przypięta biała róża i przed tym właśnie namiotem zatrzyma się książę.

MARJA.

Toż to zupełny spisek?

JERZY.

Teraz już zniweczony.

MARJA.

Bywaj mi zdrów, panie Zalfeld, pokłoń odemnie mojej Walentynie. (wychodzi.).

JERZY (patrząc za odchodzącą).

Dusza jój jest podobna do czyściutkiój, bieluchnej kartki... cóż na niój napisze dalsze jój życia przeznaczenie?...



MARSZAŁEK (śpiesznie wchodząc).

No! cóż takiego, mój przyjacielu, jakże tu idą nasze rzeczy?

JERZY.

Wszystko tak jak należy. Jój książęca mość skierowana już na właściwą sobie drogę.

MARSZAŁEK.

Możesz być pan pewny nieograniczonej wdzięczności mojej.  
(wychodzi).

JERZY.

Rozumie się! (wskazując na kartkę). Teraz Walentyno, tyś ocionalna! (odchodzi.)

## SCENA II.

(Wnętrze groty, posąg i sadzaweczka, ocebrowana muszlami, przei nią kamienna lawka, na lewo wejście, w dali otwór w sztucznie ułożonej skale).

ARFIARZ.

(Prowadzi go pod rękę córka; stary i słaby drzącym odzywa się głosem).

Leno! ileżes zebrała?

CÓRKA.

Ośm groszaków ojcz!

ARFIARZ.

Och! lichy zarobek, ciężkie czasy! dawaj je tutaj. (bierze pieniądze i szybko chowa do kieszeni, wtém nagle wyprostowya się i silnym ukazawszy się mężczyzną, grmiącym przemawia głosem): Pójdź tam! dziewczyno, zobacz czy nie przychodzi cygan?

CÓRKA.

Nie chcę i spojrzeć na tego nikczemnika.

ARFIARZ.

Pójdźże natychmiast, mówię ci, bo cię poproszę po swojemu.

Ciż sami i CYGAN.

CYGAN.

A! tyś już tutaj! stary krecie? I cóż, jakże się tam wam powiodło?

ARFIARZ.

Zaczekaj. Widzisz, że przy mnie córka. Czy słyszysz Leno?

CÓRKA.

Ależ i ja chcę wiedzieć ojcie, co robić zamierzasz?

CYGAN.

Zostaw ją tu; ona się nie wygada. (chce ją uściskać, ona go odpycha z pogardą).

ARFIARZ.

Gotowa mi jeszcze uciec. Jój do naszych robót wcale mieszać nie warto. Stań u wejścia Leno i pilnuj, aby kto zniecka nie nadszedł. (Lena wychodzi).

CYGAN.

No! cóż?

ARFIARZ.

At, nie się nie udało. Wszędzie pilnują, tak zupełnie jak w mieście. U małego tylko pałacyku z balkonem nie ma teraz żołnierza na straży.

CYGAN.

No!

ARFIARZ.

A! tam mieszka jedna znakomita dama, ta sama, u której onegdaj prosiliśmy o jałmużnę. Śpi ona w drugim pokoju od ogrodu, za nią w dalszym pokoiku służąca, a mężka służba na dole.

BENJAMIN

(wsuwa ostrożnie głowę przez otwór i mówi zcicha): Tak, prawda, to oni; poznałem dziewczę. Posłuchajmyż, o czém to oni rozmawiają.

CYGAN.

I teraz już żołnierza nie ma?



ARFIARZ.

Od wczorajszego poranku, w altanie ukryto drabinkę. Gdzież więc nam!... Cyt, zdaje się słyhać jakiś szelest.

CYGAN.

Nie bój się, wszakże tam pilnuje dziewczyna.

ARFIARZ.

Widać wiatr mocniej zadął.

BENJAMIN. (głośno u wejścia).

Ej! kto tu jest? (wchodzi).

ARFIARZ (znowu stary i zgarbiony słabym głosem).

Łaskawy panie, zlituj się nad nieszczęśliwym ślepym starcem.

BENJAMIN

(zdejmując czapkę i nisko się klaniając jemu).

Pięcioro małych dzieci, a nié mam czém wykarmić... Co za lichy! już swoich nie poznajecie?...

ARFIARZ.

Benjamin? Cha! cha! cha! jakżeś ty się przestroił?...

BENJAMIN.

Co to znaczy przestroił się, stara sowo! Ja mam miejsce. Wreszcie to do was nic nie należy. No! mówcie, co tu przedsięwzięcie?

ARFIARZ.

Bynajmniej: nic a nic bratku.

BENJAMIN.

Nic a nic bratku! czy tak?... toż ja wam powiem, jaką zajmujecie się robotą, ty wszystko rozpatrzyłeś a ten... (czyni gest ręką).

CYGAN.

Niech cię kaduk porwie, tyś nas podsłuchał.

BENJAMIN.

Próżny byłby trud! Już wy kiedy się tylko zejdziecie, to bez tego wiadomo, o co u was rzecz idzie.

ARFIARZ.

Ty nam się przydać możesz, może chcesz połączyć się z nami?

BENJAMIN.

O cóż idzie?

ARFIARZ.

No; toż wreszcie i opowiemy! ale nie, piérwój nam powiedz, czy pójdiesz z nami?

BENJAMIN.

Nie, nie pójdę; mam teraz inną robotę: zawarłem umowę.

ARFIARZ.

A rzecz ważna?

BENJAMIN.

I bardzo! *(na stronie.)* Wstyd mi przyznać się tym niegodziwcom, że cała rzecz tyczy się prostěj uczciwości.

ARFIARZ.

No! to ruszajże stąd do licha!

BENJAMIN.

Wybaczcie, że nic z tego nie będzie. Ot zaraz tu przychodzą znakomite ze dworu osoby, musicie więc stąd precz odejść, jeśli nie chcecie, aby was gdziekolwiek zasadzono. Lecz posłuchajcie, ja, po starěj znajomości, nic nie chcę wiedzieć względem waszěj roboty, ale wy zawsze jednak powinniście zapłacić mi talar. To będzie dla was karą za to, żeście zapomnieli ot! o tój dziurce *(pokazuje na otwór)*. Jutro z rana talar powinien być koniecznie tu położony, tu pod tym oto kamieniem.

CYGAN.

Jak to, psie jakiś, to ty chcesz nas wydać?



BENJAMIN.

Bynajmniej, ale chcę tylko znaleźć talar pod tym kamieniem, bo inaczej...

ARFIARZ.

Bo inaczej?... to cóż?...

BENJAMIN.

Znowu postawię żołnierza na straży pod balkonem pałacyku, cha! cha! cha! No! precz stąd a żywo! (Cygan i arfiarz śpiesznie odchodzą). Łajdaki! nie pojmuję jak mogłem z nimi mieć stosunki. Ależ ta Lena, to wyborna dziewczyna! Nie powiedziałem starcowi, że zatkałem jej usta pocałunkiem, kiedy chciała zakrzyczeć. Z niąby się można ożenić, biedaczka śliczna! Gdzie to oni chcą wkraść się?... Tam, gdzie nie ma żołnierza od wczorajszego ranka... O wszystkim się dowiem. I w którą to noc?... o tém dla mnie powinna dowiedzieć się Lena... Al słyszę już stąpanie, to mój pan.

JERZY.

Nuże prędkiej Benjaminie, bież na sam koniec parku. Tam zobaczysz lektykę, powiesz pierwszemu z niosących ją, aby stanął u tej grotty, i poprosił damę, iżby wysiadła i do niej weszła. Niech on tu przyprowadzi damę: ty zaś innych tragarzy zaprowadzisz na przyzwoitą odległość a sam staniesz przy nich na straży. Czy potrafisz dać mi w razie potrzeby znak?

BENJAMIN.

Jaki tylko pan zechcesz. Umiem gwizdać, krakać, gdaczyć szczekać, miauczeć, burczeć.

JERZY.

To dobrze. Swiśnijże raz, skoro tylko zobaczysz lektykę, dwa razy, jeżeli ujrzesz kogokolwiek obcego.

BENJAMIN.

Spieszę. (odchodzi prędko).

JERZY (sam).

Muszę cię ocalić Walentyno! może mi to kiedykolwiek wybaczysz, że tak działałam na własną poniekąd korzyść.

(słychać w dali gwizdanie). Al już mój łotr mię przyzywa, wyjdźmyż co prędzej.

WALENTYNA.

(w atlasowej sukni i aksamitnej narzutce wchodzi, ogląda się w okolo i po chwili milczenia).

Tutaj nikogo nie ma. Alboż to żarcik księżniczki?... Wszystko to coś zakrawa na czarodziejską bajkę.

JERZY (wchodzi).

WALENTYNA (ze zdziwieniem).

Pan Zalfeld!

JERZY.

Tak, baronesso, to istna czarodziejska bajeczka i ja tę bajeczkę opowiem.

WALENTYNA (dumnie).

A ktoż panu poruczył tę rolę?

JERZY.

Zaraz się dowiesz pani. Czy raczysz posłuchać méj bajeczki? Ona króciutka.

WALENTYNA.

Słucham (siada).

JERZY.

Dziękuję. Więc zaczynam. Pani nie powinnaś być Walentyną księcia.

WALENTYNA (powstając).

Co?...

JERZY.

Jużem temu przeszkodził, jużem wszystkich oszukał dworaków. Księżniczka Marja zastąpi pani miejsce.

WALENTYNA.

Jak pan śmiałeś?

JERZY.

Zdziałałem więcej jeszcze: księżniczka mniema, że ja rzeczywiście z poruczenia pani tak postąpiłem, że na prośbę pa-



ni żądałem od niej lektyki, pod pozorem, żeś pani chciała wrócić do stolicy, niepoznana od nikogo.

WALENTYNA.

Niesłychana zuchwałość!

JERZY.

Wszystko to uczyniłem bez pani rozkazu a to dla tego, żeś mi nie dozwoliła pomówić z sobą dzisiejszego poranku.

WALENTYNA.

I zawlokłeś mię tutaj, aby mi powiedzieć to wszystko! My tu samotni, jam w twoich rękach, nie prawdaż?...

JERZY.

Nie pani, wejście nie zaparte, tragarze stoją w końcu alei, jednego skinienia twego dosyć, żeby ich tutaj przyzwać. Jeszcze też pani pośpieszysz na zabawy. Jedno jój słowo zniszczy wszystkie moje zabiegi. Widzisz więc pani, że wcale nie jesteś w moich rękach, żem wcale nie myślał zatrzymać ją tu gwałtem przy sobie.

WALENTYNA.

A zatem, w takim razie, idę! (postępuje kilka kroków i staje). Nie znajduję słów, jak nazwać twój postępek. To zatrzymanie tajemnicze obraża mię, krzywdzi. To wmięszanie się w moje sprawy, obudza we mnie najsilniejszą dla pana niechęć. Jednakowoż, tylkoś co mi dał najuroczystsze słowo, żeś bynajmniej nie chciał mię skrzywdzić. (z goryczą lecz ze smutkiem) Coż mu podało powód poniżyć mię tak, w oplotaném mém życiu?

JERZY.

Co w jój życiu podało mi powód? W życiu twém, pani znalazłem szlachetne serce, okolone zewsząd marnościami. Pani podobnaś do lwicy igrającej z myszkami. I zabołało mię to mocno dla dobra pani. Gdybyś została dzisiaj Walentyną księcia, ani wątpić, że wtedy, przy nowój ściśłości, przy two-

ich tak czarujących wdziękach, przy jego widoczném jęj upodobaniu, oboje w końcu owych naznaczonych czterech tygodni, złączylibyście się miłośnym związkiem. Obojeście to czuli i dla tego to on tak gorliwie zajmował się uroczystością ś. Walentyna, a pani... nie przeciwiałaś się temu...

WALENTYNA (do siebie ściskając konwulsyjnie pięści).

To czart! (głośno) A jeśli mu na to odpowiem, żem nie obojętna dla księcia, jakimże prawem śmiesz pan gwałtem załumiać pierwsze zarodki cichego mego uczucia?

JERZY (z zapalem).

Pani nie kochasz księcia, pani go kochać nie możesz. Prawdziwa miłość jest trwożliwa, ukrywa się od ciekawego tłumy. Gdybyś pani kochała księcia, nie zechciałabyś pewnie, ażeby trąby i bębny obwieściły panią po całej stolicy jego Walentyną.—To nie miłość, to duma!

WALENTYNA. (na stronie).

Przestrasza mię. (głośno) Przypuśćmy, że to duma. Ja dążę ku władzy, ja chcę mieć wpływ. Jakież ma środki ku tym celom kobieta, jeśli nie miłość mającego władzę człowieka?

JERZY.

Widziałem kobiety i mądre i skromnie umiarkowane, które istotnie umiały rządzić ludem zręcznie, niżli mężczyzna. I pani wzrok śmiały i jasny, i duch twój jest potężny. Przełatałabyś zapewne z czasem w księcia część duchowej swojej wielkości, i wiele stąd wyniknąć mogłoby dobra, ale pomimo tego lud zawsze przeklinałby ten związek i lud ze swojej strony miałby słusność. Dla téj krainy nie ma bardziej zbawczego związku, nad ślub księcia z księżniczką Marją.

WALENTYNA (z uniesieniem).

To fałsz!

JERZY.

Najłatwiej dowieść, że to nie fałsz ale prawda. Nasze księstwo niewielkie, lecz składa swój małeńki udzielnny światek:



majątki księżniczki Marji zajmują prawie połowę tego księstwa; jeśli więc ona wyjdzie za innego jakiego władzcę, wówczas ten mały światek jeszcze bardziej zdrobnieje; sprawy i potrzeby jego rozszczepią się na dwoje i będzie podobny do ptaszka, z obciętymi skrzydłami.

WALENTYNA.

Nie tak o tém sądzą u dworu.

JERZY.

Zwróć pani oko na lud: jego instynkt dawno już odgadł rzeczywistą prawdę.

WALENTYNA (stoi nieruchomie).

JERZY.

Ośmielał się to wszystko mówić pani, nie z zuchwałego zarozumienia, nie dla tego także, żem syn tego kraju, i że drogą jest dla mnie ojczyzna moja, lecz jedynie dla tego, że chcę sobie zaskarbić przyjaźń pani, a bardziej jeszcze dla tego, że lubo pani zaledwie mię poznałaś wczora... ja oddawna znam już panią i poważam ją. To com uczynił, zrobiłem zgodnie z własnem jój wewnętrznem poczuciem, nawet i teraz, kiedyśmy się stali wrogami, powinnaś pani czuć, że postąpiłem, jak jój prawdziwy przyjaciel. (Słychać brzmienie trąb w oddali). Słyszysz pani, już grzmi muzyka, poczęły się zabawy.

WALENTYNA (posuwa się krokiem ku wyjściu).

JERZY.

Nie zamknięto. Możesz pani wybrać.

WALENTYNA (siadając).

Zostaję.

JERZY (żywo).

O! wiedziałem o tém i serdecznie dziękuję pani.

WALENTYNA (posępnie).

Proszę mi nie dziękować, ja czuję, że od téj chwili powinienam go nienawidzieć.

JERZY (cicho).

I o tém wiem, bom głęboko przekorą moją zranił panią;  
(kłęka) ale ja kocham panią, i od téj chwili życie moje należy  
do niéj.

WALENTYNA (z mocą).

Precz ode mnie!

JERZY (głośno).

Witam cię moja Walentyno! (odrzyna kindżalem kończyk jój wstąż-  
ki u pasa i podnosi w górę). Będę więc nosił barwy twoje. (śpiesznie  
wychodzi).

WALENTYNA (stoi jak martwa).

Wszystkoż to sen!

---

## AKT III.

---

### SCENA I.

(Aleja w parku. W głębi błyskają różnokolorowe zapalone latarnie i tłumne  
snują się maski. W oddaleniu muzyka).

WINNEG I MARSZAŁEK.

(Oba przestrojeni z maskami w rękach, wchodzą ze stron przeciwnych).

MARSZAŁEK.

Szukałem ją na próżno; nie ma między maskami.

WINNEG.

Ona musi być tutaj, wiem o tém dokładnie, wiem, że dzę-  
siał wieczorem wróciła do pałacyku i zaraz chciała tu przy-



być. Ona powinna koniecznie znajdować się tutaj, albo wszystko nasze przepadło.

MARSZAŁEK.

A jeśli jój zamarzy się nie przyjść?

WINNEG.

Tośmy całkiem zginęli. Słuchaj Gurten, nie mamy wcale tracić czasu, książę powinien nierozzerwanie połączonym być z baronową. Dzisiaj namiętność jego w pełnym jeszcze rozpłomienieniu, a jam bardziej rozżarzył ten ogień szampanem. Lecz jeśli zimna obojętność baronowej potrwa dłużej, on ze zwykłą sobie płochością ochłodnie, zapomni ją i zbliży się do księżniczki, która go prawie ubóstwia. Sam szatan pobudził nas do ułożenia tych zabaw, a księżniczka przewybornie umie z tego korzystać.

MARSZAŁEK.

Toż okropnie!

WINNEG.

Książę nie powinien przywiązać się do księżniczki, i jeśli można będzie to zdziałać, niepowinien nigdy w równe sobie wejść śluby. Inaczéj pan stracisz...

MARSZAŁEK.

Cyt!

WINNEG.

Order obiecany ci przez naszych tajnych sprzymierzeńców.

MARSZAŁEK.

A pan, coż tracisz?...

WINNEG.

Źródło opłaty moich długów. Widzisz pan, żem otwarty. Moi wierzyciele nie dają mi pokoju, i jeśli co najprędzej, ile tylko być może, nie zdołam uwiadomić kre-

wnych księcia, że się on połączył z baronową, natenczas do szczętu zrujnowany zostanie...

MARSZAŁEK.

Zdaje mi się, kochany hrabio, żeś ty odtąd, ile od poznania cię zapamiętać mogę, zawsze był zrujnowany. Jednakowoż, coż nam teraz czynić wypada?...

WINNEG.

Należy nam stanowczych chwycić się środków. Książę rozmiłowany, baronowa pełna zalotności, trzeba rzecz uskutecznić a żywo, i jeśli baronowa tutaj; to dziś jeszcze...

MARSZAŁEK.

Tak, dzisiaj!...

WINNEG.

Przekupiłem jedną z jej pokojówek. Jeśli baronowa dziś się ukaże na zabawie, w jej domu przygotuję wszystko.

MARSZAŁEK.

Ciszéj, nadchodzi jakaś maska, to podobno Zalfeld.

WINNEG.

Jakim sposobem wścibił się on na bal?

MARSZAŁEK.

Księżniczka rozkazała go prosić.

WINNEG.

Ot jak on zręcznie potrafił wszrubować się do dworu. Nie cierpię tego człowieka.

MARSZAŁEK.

A ja się go boję; lękam się nawet tego, iż to nie kto inny, tylko on, wypłatał nam ową nieprzyjścia baronowej sztuczkę. Napomknę o tém księciu.

WINNEG.

A ja pójdę, poszukam baronowej. (Oba odchodzą.)



JERZY

(w ciemnym płaszczu z białą wstęgą na kapeluszu).

Bal już się kończy, a Walentyny nie ma tutaj. Dzięki tobie o Boże! ona się gniewa na mnie, lecz chce uniknąć księcia... A! otoż i księżniczka. (Wkłada maskę).

MARJA (zamaskowana spogląda nań).

Mężny rycerzu, jakież tajemnice odkryłeś w téj alei?

JERZY (zdejmując maskę).

Ani jednej, mogącej być skierowaną wprost do waszój książęcój mości.

MARJA (zdejmując maskę).

Gdzie baronowa?

JERZY.

Spodzielam się, że musi już być w pałacu.

MARJA.

Kiedyż do siebie wróci?

JERZY.

O tém nie wiem, czego mocno żałuję, przyznam się waszój książęcój mości.

MARJA.

Dla czegożeś pan tutaj?

JERZY.

Jestem tu jako sprzymierzeniec baronowój, dla ochrony waszój książęcój mości.

MARJA.

Wierzę panu. (Spiesznie i pół głosem) Strzeż się pan, chcą pana przed księciem oczernić potwarzą.

JERZY.

Czekałem tego.

MARJA.

Hrabia Winneg na krok nie odstępuje księcia. Książę roztargniony, przejęty trwogą. Znowu się zawiązuje jakaś piekielna intryga.

JERZY.

Jakaż?

MARJA.

Nie wiem; ustawnie szepcą z sobą i to jak najciszej.

JERZY.

Tysiącrotnie dziękuję waszej książęcej mości. Niczego nie zaniedbam w sprawie mojej dostojnej sprzymierzoněj.

MARJA.

Idź pan za mną, ja z panem rozmawiać będę w tłumie masek, przez co będziesz miał zręczność dopatrzenia tego bliżej, co się też dzieje około księcia. (oboje wychodzą).

WALENTYNA

(przebrana za pielgrzymkę z maską w rękę, wchodzi szybko).

Otożem i ja tu! Skrzywdzona, jak nie była jeszcze dotąd skrzywdzona żadna kobieta w świecie, wyszydzona przez jakiegoś przybłądę, poniżona we własnych mych oczach. Dłużej tego znieść nie podobna. Co on za jeden, aby śmiał mną rozrządzać, żeby mi przepisywał drogę! Powinam ukarać go ukazaniem się mojem tutaj. Do żadnej nie poczuwam się winy i chcę działać według natchnień własnej mej woli. A on powinien zniknąć ze ścieżek mego życia. Idą. (wklada maskę i chce odejść).

KSIĄŻE, MARSZAŁEK

(i HRABIA WINNEG w głębi sceny).

KSIĄŻE (biorąc jej rękę).

Dokądże to, miła pielgrzymeczko? Droga twoja usiana samemi roskoszami, dozwól mi pójść za sobą.

WALENTYNA.

Odtąd jak radość towarzyszy potężnym tego świata, my pielgrzymi, odszukujemy ich wszędzie. (zdejmuje maskę) i jam cię panie otoż tutaj znalazła.



KSIĄŻE.

A jam znalazł boginię naszych zabaw. Czémżeśmy cię pani zniechęcili, prześliczna bogini? czemużeś się skrywała od nas.

WALENTYNA (z uśmiechem).

Może też i dla tego, iż pragnęłam, żeby postrzeżono nieobecność moją.

KSIĄŻE.

W takim razie tysiąckrotne składamy dzięki, żeś do nas wrócić raczyła... Zdradziłaś mię baronowo, czyliż mię nie znalazłaś godnym nazwania się rycerzem twoim?

WALENTYNA.

My, kobiety, nie zawsze lubimy, kiedy heroldowie rozgłaszają imiona hołdowników naszych.

KSIĄŻE.

Kiedyż więc odtrącacie ich hołd, a kiedy go jesteście przyjąc gotowe?

WALENTYNA (uśmiechając się).

Wtedy, kiedy się go lękamy.

KSIĄŻE.

Walentyño!... I toż jest jedyny powód oddalający cię od nas?...

WALENTYNA.

Byłam nie w humorze, łaskawy książe: potrzeba mi było nieodzownie samotności. Wesoła wrzawa dni ostatnich, napędziła mi wiele przyczyn do rozmyślenia.

KSIĄŻE.

Jednakowoż dla mnie, obecność twoja pani, jedynie nadawała wdzięk i wartość całej téj wrzawie. Sama, zdaje mi się, znajdowałaś nie małą w niej przyjemność, mnie-małem, że p. Zalfeld za to tylko pozyskał jój względy i opiekę.

WALENTYNA.

Właśnie miałam przyznać się waszej książęcej mości, że odtąd nie mam już najmniejszej ochoty być opiekunką tego pana Zalfelda.

KSIĄŻE.

Wyrzekasz się go pani?

WALENTYNA.

Jego rozmaite koncepta wcale mi się nie podobają.

KSIĄŻE (na stronie).

Czy nie za to gniewa się nań, że tak niezręcznie złączył mię w namiocie z księżniczką. W takim razie, zwycięstwo z mojej strony! (głośno) Nie będzie on jej dłużej zawadzał.

JERZY (w głębi).

WINNEG MARSZAŁEK.

WALENTYNA.

Otoż i on!

KSIĄŻE;

Zbliż się tutaj panie Zalfeldzie! (Jerzy podchodzi). Plan naszych zabaw cokolwiek już zmieniony, z żalem nadal nie możemy korzystać ze zdolności pana.

JERZY (z uszanowaniem lecz z godnością).

Obca mię tu przyzwała wola, i taż sama wola usunąć mię jest w stanie. (ze znaczeniem) Tam tylko, gdzie działałam z własnego mego przeświadczenia, tam odstępować nie zwykłem. Zjawiłem się tutaj za rozkazem waszej książęcej mości i dzisiaj jeszcze ten dwór opuszczę.

KSIĄŻE.

Dzisiaj wieczorem radziłyśmy go widzieć jeszcze jak gościa. (Odechodzi z Winnegiem i marszałkiem, zuchwale od stóp do głowy przeglądającymi Jerzego).



JERZY (patrząc za nimi).

I na coż to potrzebne, wskazżeśmy już z sobą całkowicie skończyli.

WALENTYNA.

Ale my, nie skończyliśmy z sobą.

JERZY.

Jeszcze nie, baronowo, i nie skończymy tak prędko...

WALENTYNA.

A ja mówię że natychmiast!

JERZY.

Proszę mi powiedzieć, jakim sposobem?

WALENTYNA.

Wcisnąłeś się w me życie bezrozumną, zuchwałą samowolnością, śmiertelnie pokrzywdziłeś moją kobięcą dumę... Lecz ja ci to wszystko przebaczam.

JERZY.

Nie baronowo! pani nie możesz i nie powinnaś mi przebaczyć. Pani musisz albo mię nienawidzieć i w tej chwili istotnie mię nienawidzisz, albo mię kochać! Tu nie mają miejsca żadne półśrodki.

WALENTYNA.

Dobrze więc. Zatem ja pana nienawidzę. Lecz to jeszcze nie wszystko. Pan zuchwale, bez mojej na to zgody, ogłosiłeś się mym rycerzem, i nosisz moją barwę. Oddajże mi tę wstęgę zawieszoną u jego kapelusza.

JERZY.

Nie oddam jój.

WALENTYNA.

Pan tę wstęgę pochwyciłeś u mnie, jam ci jój nie dawała.

JERZY.

Prawda i dla tego właśnie nie oddam jój.

WALENTYNA.

Jam panu nie dała prawa, ani nawet cienia prawa do pochwylenia jój.

JERZY.

Zapewne, ale była chwila, kiedyś mi dozwoliła zajrzeć w głąb myśli swoich, i w tę właśnie chwilę, dałaś mi pani prawo pokochać cię...

WALENTYNA.

Nie mam wcale zamiaru szermować tu z panem na słowa. Raz jeszcze zapytuję, czy chcesz mi oddać tę wstęgę albo nie?

JERZY.

Nie!

WALENTYNA.

O! jeśli tak, toż mię przymuszasz zapomnieć, żem kobieta i gwałtem ci wydrzeć własność moję. (Zrywa mu kapelusz, zdiera zeń wstęgę, ręce jój drżą, upuszcza wstęgę na ziemię, depece ją nogami, podnosi i chowa).

JERZY

(stoi naprzód jak wryty, —potém szybko podstąpiwszy na przód całuje rękę Walentyny z przejęciem i czułością).

Bądź zdrowa Walentyno, nie zapominaj o tém, żeś mogła zerwać wstęgę, ale nie miłość moję. (Odbiera od niój kapelusz i odchodzi).

WALENTYNA (ponuro).

To jest wyraźnie mój zły duch! (śpiesznie odchodzi).

BENJAMIN

(wylazi z pod krzaka i patrzy za nią ściskając pięści).

Poczekajno, dumna piękności, jutro nie zobaczysz srebrnych łyżek swoich. Tak istotnie, Lena powiedziała mi prawdę, dziś w nocy towarzysze moi wkradną się do niój. Lecz coż na to powie mój pan? Ach! mój pan, to wcielony szatan, okrutny, bez najmniejszego czucia człowiek i jam nieszczęśliwy odtąd, odkąd u niego przyjąłem służbę. Pierwój



kradłem z najspokojniejszym sercem a teraz same mię tylko napastują utrapienia, ot naprzykład wczoraj, leży u niego na stole turecka fajka oprawiona w srebro; ja tylko tak sobie, mimochodem, spojrziałem na nią, aż on to już dostrzegł i mówi:—Benjaminie! weźno sobie tę fajkę, daruję tobie.—(z dąsem) Co to jemu do tego, że spoglądam na jego fajki? Jak śmie darowywać mi takie rzeczy, które mógłbym najłatwiej ukraść? Fajkę wsunąłem w kieszeń, lecz trząsałem się ze złości i pogardziłem tym darem,—bo w nim nie ma żadnego honoru. Dziś zrana zapaliłem znowu fajkę i podałem ją po śniadaniu. A on ściska mi rękę i mówi:—dziękuję ci kochany Benjaminie!—(uśmiechając się). Ścisnął mi rękę, i rzekł kochany Benjaminie, dziękuję ci!—O! tak! to okrutnik, i ja nie przebędę u niego więcej trzech dni. Ale co mnie teraz począć z tą zamysloną kradzieżą? Jeśli powiem o niej mojemu panu, to zdradzę dawnych towarzyszków, jeśli nie powiem, to nadwerzę przeklętą moją umowę. Ech! trudne, przykre me położenie. A wszystkiemu winna ta niegodziwa umowa. Nie zrobię nic, nie wmięszam się do niczego, i to będzie podobno najrozumniej. Skryję się koło pałacyku i zobaczę, co z tego wszystkiego wyniknie. (odchodzi).

(Podczas téj rozmowy z sobą samym Benjamin, zupełnie ściemniało. Maski zwoła się rozeszły, latarnie pogasły).

RSIĄŻE, WINNEG.

KSIĄŻE.

Tak więc postanowiono Teodorze! Bardzoby się mnie teraz przydał twój bezwstyd, gdybyś mógł go tylko pozyczyć.

WINNEG.

Na nic on księciu nie przydatny, masz bowiem z sobą dwóch potężnych sprzymierzeńców, dostojność swoją i jej miłość.

Walentyna.

KSIĄŻE.

Ach! tak jest; od wczorajszego wieczora zaczynam mnie-  
 mać, że ona mię kocha.

WINNEG.

U dworu powiadają, że baronowa tajemnie uwielbia cię  
 książe w najwyższym stopniu, lecz kryje się z tém przez  
 dumę.

KSIĄŻE.

Ta właśnie duma, przyznaję się tobie, trwoży mię. Wa-  
 lentyna często wzbudza we mnie jakąś obawę.

WINNEG.

Tego rodzaju trwoga, zwykle po północy, bywa nad-  
 zwyczaj słaba.

KSIĄŻE.

Lecz jakże się z nią obaczę?

WINNEG.

Baronowa zawsze odsyła sweje pokojówki, nim się spać  
 położy, a przez jedną lub parę godzin, sama zajmuje się czem-  
 kolwiek w pokoju swym bawialnym. Książę ją zatem  
 znaleźć tam może.

KSIĄŻE.

Lecz jakże mię tam przeniesiesz? Alboż u ciebie są  
 skrzydła?

WINNEG.

Moje skrzydła stanowi mocno spleciona, jedwabna dra-  
 binka, którą łatwo uczepić do balkonu. Drzwi od niego  
 nie będą zamknięte. Postaraliśmy się także o to, aby ba-  
 ronowa w chwili pierwszego popłochu w dalsze pokoje zem-  
 knąć nie mogła. Ja będę oczekiwał księcia na dole.

KSIĄŻE.

Teodorze, tyś mój kuszący Mefistofel. Ale jój oczy przy-  
 ciągają mię niczém zerwać się nie dającą siłą: idźmyż  
 (oba wychodzą).

---



## S C E N A II.

(Salon w mieszkaniu Walentyny, oświetlony matową lampą)

WALENTYNA, POKOJÓWKA.

(Pokojówka stawia na stole świecę i przysuwa poręczaste krzesło).

WALENTYNA.

Więcej mnieś nie potrzebna. Nie zapomnij drzwi zamknąć od balkonu.

POKOJÓWKA (wychodzi i wraca).

WALENTYNA (zdjęwszy zausznicę).

Włóż te brylanty do pudełka. (Pokojówka układa zausznicę i ustawia na stole czerwone safjanowe pudełko). Gdzież moja książka?

POKOJÓWKA.

Oto jest pani.

WALENTYNA.

Coż się ci stało, moja kochana, bledniejesz, drżysz jak listek. (z dobrotliwem przejęciem) Możesz chora?

POKOJÓWKA.

Coś mi nie dobrze pani.

WALENTYNA.

Kładnijże się co prędzej do łóżka, ja cię wkrótce odwiedzę. (Pokojówka wychodzi, Walentyna siada, bierze książkę, otwiera ją, znowu zamyka, wstaje i chodzi po pokoju). Oddaliłam go od siebie, pomściłam się nad nim, a pomimo tego nie radam z siebie. On zaś, gdy się pochylił ku ręce mojej miał tenże sam dumny uśmiech, też chłodną zarozumiałość w ustach, jak wtedy, kiedy mię poniżyć potrafił. Powinnam zapomnieć o tych chwilach. (siada, bierze książkę i upuszcza ją). Nie mogę czytać, jego obraz, jego przenikający wzrok, ściga ją mię jakby widmo jakie. I kłóż on? Dziwne koleje życia ukształciły zapewne podobnego człowieka. Ledy Pe-

nelopa musi o nim dokładnie wiedzieć, napiszę do niej.  
(bierze papier, pióro, i pisze; po niejakić chwili cichości slyszeć się daje szmer).  
Co to jest? co to za szelest?

KSIĄŻE

(w balowym stroju, na który narzucony lekki, ciemny płaszczyk).

WALENTYNA.

Boże mój! ktoś tu idzie (biegnie do drzwi bocznych, z przestraczem).  
Co to ma znaczyć? Drzwi zamknięte.

KSIĄŻE (zbliżywszy się, bierze ją za rękę).

Walentyno! nie uciekaj odemnie.

WALENTYNA (gluchym głosem).

To książę! (głośno) I czemuż to winna jestem tak niespodziane odwiedziny w. ks. mości?

KSIĄŻE.

Pragnieniu ujrzenia ciebie, pómówienia z tobą na osobności. Wysłuchaj mię Walentyno! W szumnych rozrywkach napełniających czas ten cały, widziałem tylko ciebie. Powinnaś o tém sama wiedzieć, bom się nigdy a nigdy nie ukrywał. Dla ciebie to pani, wymyśliłem był ową zabawę, która miała nas zbliżyć na kilka tygodni bardziej ku sobie i dać mi przez to możność dobijania się miłości twojój. Wypadek, albo też może i tyś sama pani, zniweczyły mój zamiar; więcćj już nie widzę możności, aby pod maską lekkiego żartu głębokie me wypowiedzieć uczucie. Dla tego to uciekłem się pod zasłonę nocy, dla tego przychodzę tu, powiedzieć ci, prześliczna Walentyno! ja kocham ciebie!

WALENTYNA.

I dla tego to, wasza książęca mość przybywasz tutaj w nocy? i z miłości to ku mnie, wkradłeś się jak złodziej, w ciche mieszkanie moje?... Nie, mości książę! praw-



dziwa miłość trwoźna, pełna godności i szacunku. Dla uczucia zaś które cię tu przywiodło, inne jest zupełnie nazwanie.

KSIĄŻE.

Tys, bez litości baronowo! obruszasz się na moją śmiałość, ależ pomyśl i o tém, żem nie był pozbawiony nadziei...

WALENTYNA (na stronie).

O! Boże mój! on ma słusność.

KSIĄŻE.

Pozwoliłaś mi kochać siebie, usta twoje wprowadzie milczały, ale twój uśmiech mówił jasno, i kiedy słowa twoje mię odsuwały, to wzrok mię przykuwał do stóp twoich. Byłem za nadto zarozumiały i ślepy, polegając na nich? A wieszże Walentyno, jak my, mężczyźni, nazywamy to wszystko?... Oto zowiemy to: podawaniem nadziei.

WALENTYNA (z zapalem).

O! niech będą przeklęte na wieki te godziny, w których ją mogłam ci podawać! Ach! tak, w słowach twoich panie, jest gorzka prawda; tém okropniejsza dla mnie, że ty sam, książe, w tę chwilę możesz mi w oczy ją zarzucać. (zasłania twarz dłońmi). O! mój Boże, mój Boże! czegożem to dożyła!

KSIĄŻE (na stronie).

Dreńczy mię widok jęj boleści, w całej tej scenie odegrywam nizekzemną rolę. (z cicha). Walentyno! czyż nie chcesz mię wysłuchać?

WALENTYNA.

Och! mnie i boleśnie i ciężko! Obecność twoja, panie, w tej chwili, potępia całe, niedawno tu ubiegłe życie moje!

KSIĄŻE.

Dobrze więc, dobrze, wnet ją uwolnię od mojej obecności, lecz zostaw mi przynajmniej nadzieję, że serce two-

je zamknięte teraz dla mnie, w innych okolicznościach stanie się przystępniejsze.

WALENTYNA (z przytłumioném uczuciem).

Nigdy!

KSIĄŻE.

Nie pozbawiajże mię nadziei, téj ostatniej pociechy mojej! Zapomnij o téj nieszczęsnej nocy!

WALENTYNA.

O! ona mi zawsze, zawsze każdego razu stanie w przykréj pamięci, skoro tylko o grzechach życia mego rozmyślać pocznę.

KSIĄŻE

Bądź zdrowa, Walentyno! jutro wymodłę przebaczenie u ciebie. (wychodzi).

WALENTYNA (opierając się o krzesło).

To okropnie! Obszedł się ze mną, jak z najędzniejszą z kobiet! Co mam począć? gdzie znaleźć obronę i opiekę (w téjże chwili pada przez balkon u jéj stóp, kamyk obwinęty papierem. Walentyna wstrząsa się). A toż co? papier, w nim kamyk. (podejmuje i zbliża się ku świecy). Tu coś napisano. (czyta) *On zapomniał o swéj drabince, a ja nie mogę zdjąć jéj z dołu, proszę ją odczepić i wciągnąć na górę, proszę też nie zapomnieć drzwi zamknąć.* Zalfeld.—On! i znowu on! widział jak stąd odemnie wybiegł książę, teraz on pogardza mną, tego nie zniosę. (po chwilowym rozmyśle, podchodzi do stolika i pisze). *Trzeba mi koniecznie pomówić z panem.* (odechodzi od stolika, patrzy w okno). Księżyc już wschodzi, z ła-twością więc przeczytać będzie można. (obwija papier około kamyka i wyrzuca przez okno. Cichość. Walentyna spoziera ku balkonowi z natężoném oczekiwaniem).

JERZY

(wchodzi i rzuca w kąt na posadzkę, plecioną drabinkę).

Leż tutaj jedwabna gadzino! Ja zeskoczę na dół, to będzie pewniejsza. Pozwól mi pani zapuścić sztory i zam-



knąc drzwi. (zamyka drzwi). Trzeba także pogasić te świece, żeby widać nie było cieniów naszych. (Gasi świece, pokój już tylko słabo jest oświetlony przez lampę).

WALENTYNA

(na pół zemdlna, opiera się o krzesło, Jerzy podaje jej frękę i na krześle ją sadza).

Dziękuję ci panie, to zaraz minie.

JERZY

(odstępuje na kilka kroków i opiera się o kolumnę w pobliżu drzwi).

Wezwałaś mię baronowo!

WALENTYNA (obracając się do niego).

Co pan myślisz o mnie w tej chwili?

JERZY.

Żeś pani bohaterka.

WALENTYNA (z zapalem).

Jam mu żadnego nie dała prawa na znieważenie mię w tak haniebnym sposobie.

JERZY.

Wiem o tém: to była pospolita bezczekników swawola.

WALENTYNA.

Czyliżby on sam wpadł na tę myśl?

JERZY.

Hrabia Winneg był przy nim.

WALENTYNA (powstając nagle).

Nikczemnik! gdzież on jest!

JERZY (obojętnie).

Leży tam pod krzakiem.

WALENTYNA.

Pan go zabiłeś?

JERZY.

Nie, pani, on tylko padł bez czucia. O! takie płazy niezmiernie są wyrwałego życia.

WALENTYNA (siada, po chwili milczenia).

Zalfeldzie, nie zapytuję już o to, jakim trafem, znalazłeś się tu pod mém oknem, powiedziałeś mi, że mię kochasz, ja teraz więcej potrzebuję przyjaźni niż miłości. Czy możesz być moim przyjacielem?

JERZY.

Mogę, baronowo! Jużem stał wtedy pod twém oknem, kiedy tutaj wkradał się książę.

WALENTYNA.

I mogłeś pozwolić na to?

JERZY.

Jakież miałem prawo przeszkadzać mu? Żadnego. Mojém prawem jest służyć pani, sama zaś tylko możesz wybrać sobie człowieka, dla uszczęśliwienia go miłością swoją.

WALENTYNA.

Wszystko to bardzo wspaniałomyślnie, lecz za zimno.

JERZY (spokojnie).

Nie, baronowo! to tylko sprawiedliwie. Lecz mnie było ciężko i bardzo ciężko. (kładzie rękę na sercu), moja ręka mimowolnie szarpała pierś zbolełą.

WALENTYNA (po chwili milczenia).

Ja się pana lękam, Zalfeldzie!

JERZY (podchodząc ku niéj)

O! nie baronowo! bo się nie chcesz mnie powierzyć.

WALENTYNA.

Boję się twego wzroku, jakby czytającego w duszy mojej, boję się téj wstrzymywanej namiętności, ukrywającej



się pod zewnętrznym spokojem. (błagalnie) Powinnam wypowiedzieć to wszystko dla tego, iż czuję potrzebę znaleźć podporę w panu. Wprzód nim zasięgnę u niego rady, co mi czynić należy po dzisiejszej nocy, musisz pan wysłuchać spowiedź moją.

JERZY.

Słucham panią.

WALENTYNA.

Jeszczem prawie była dzieckiem, gdy mię wydano za mąż, za niecierpianego przezemnie człowieka. Nim umarł, doświadczałam wszelkich męczarni przymusowego małżeństwa. Zostawszy później swobodną, chciałam w pełni nasycić się tą swobodą, polubiłam namiętnie szumne zabawy, wylałam się na zalotną podobania się żądze, i sama tylko wrodzona duma uchroniła mię od upadku. Po długim pobycie we Włoszech, który był najmilszą w życiu mojem epoką, wróciłam do tego dworu. Książę wnet mną się zajął, zaprzyjaźniłam się z księżniczką Marją; mój wpływ, moje znaczenie, wzrastały codzień coraz bardziej. Zająłam się dyplomacją. Udało się mi przez tajemne stosunki, z owdowiałą władczynią sąsiedniego księstwa, sprawić korzyść temu krajowi.

JERZY.

Wiem: projekt handlowej umowy! Słyszałem o nim w Anglii. To czyn wielce chwalebny, baronowo!

WALENTYNA (błagalnym głosem).

Ależ to wcale nie moja tajemnica. Z księciem byłam zwykle zimna, lecz go zupełnie nie odpychałam od siebie i w tym względzie postępowałam nieszlachetnie, zwłaszcza wiedząc, że księżniczka Marja zapamiętała go kocha.

JERZY.

A samaż pani, czy nie myślałaś wtedy, że kochasz księcia?

WALENTYNA.

Czasami, bo jego zaloty pochlebiały mi. Taką byłam gdyśmy się z sobą spotkali. Wesoło mi było na tym dworze, chociaż tajemnie zawsze czułam duchową jakąś próżnię. Wesoło mi było dla tego, że wszyscy mi pochlebiali: co wcale nie dobrze z méj strony. Nie prawdaż mój zacny przyjacielu?

JERZY.

Owszem, przeciwnie. Proszę tego nie mówić. Kobiéce wdzięki i kobiécy rozum potrzebują koniecznie jakiegoś, że tak powiem, okolenia siebie, któreby je cenił umiało. Szczytniejszy powab nie powinien więdnąć nadaremnie w niewiadomości.

WALENTYNA.

Teraz pan mi pochlebiasz.

JERZY.

Ja mówię prawdę. Często zachwycają się kobiétą, boǳują jęj, zawsze atoli nie pojmując jęj naleźycie. Nieszczęście to jest spólne wielu kobiétom, toź nieszczęście dotyka i panią.

WALENTYNA.

Sama to czuję w tęg chwili. A teraz Zalfeldzie, com ja powinna czynić? Pojmuję, iż mi obecnie potrzebna niewzruszona stanowczość. Chcę opuścić ten dwór, oddalić się od wszystkich jego intryg, a może kiedyś w samotności, znowu odzyskam wiarę w siebie.

JERZY.

Pani tam do ostatka straciłabyś ową wiarę. Jabym radził, zapomnieć o wszystkim co się stało tęg nocy, nie opuszczać dworu, przynajmniej teraz.

WALENTYNA.

I pan radzisz mi to?



JERZY.

Nie inaczej pani. Uciekać od niebezpieczeństw zagrażających jej tutaj, znaczy uznać się za zwyciężoną; żeby zaś odzyskać dawną wiarę we własne siły, nieodbić należy spotykane pokonać niebezpieczeństwa. Prócz tego sumienie twoje pani, przykuwa cię do tego dworu, powinnaś zagładzić winę swoje. Ślub księcia z księżniczką Marją nie tylko stanowi polityczną tutejszą nieodzowną konieczność, lecz potrzebnym jest także dla twojej własnej spokojności, pani przeszkadzałaś mu dotąd, a księżniczka Marja jest przecież wierną jej przyjaciółką.

WALENTYNA.

Masz pan słuszność: zostaję zatem, lecz jakże mam postępować z książciem?

JERZY.

Bądź tylko pani w stosunku z nim i z księżniczką równie prostoduszną i otwartą, jak odtąd będziesz w stosunku sama z sobą. O całej przeszłości mów, ile można najobojętniej.

WALENTYNA.

Będzieszże pan mi pomagał? Ja sama w swoim nieprzebaczonem obłąkaniu, sprawiłam niemożność dalszego pobytu pana u dworu.

JERZY.

Może tak będzie nawet lepiej. Jam nie stworzony do dworskiego życia i mogę być pani pożyteczniejszym, zostając tylko ukrytym jej przyjacielem. Póki obecność moja będzie pani potrzebną, nie odjadę stąd pewnie.

WALENTYNA.

Niechajże i tak będzie... (błagalnym głosem) A teraz oddal się pan (podaje mu rękę). Ja wprędce się uspokoję.

JERZY (trzymając jej rękę).

Dobranoc, nie zapomnij pani... (znagła się zatrzymuje i zdaje się przysłuchiwać czemuś).

WALENTYNA.

Cóż to panu?

JERZY.

Ciszej pani! Słysząc jakiś szmer pod balkonem.

WALENTYNA.

Ja nic nie słyszę.

JERZY.

Mój słuch mię nie zawodzi... a teraz słyszysz pani?... skrzypi piasek,... ot i stuk podstawianej drabiny... ktoś wyraźnie wstępuje na nią... Uchodź stąd baronowo!

WALENTYNA.

(bierze go za rękę i bieży do drzwi bocznych, przeciwnych pierwszemu).

O! tu pójdziemy!—Co to jest? i te drzwi zamknięte.

JERZY.

A toż widoczny spisek!

WALENTYNA.

Ocal mię od niesławy!

JERZY.

Uspokój się baronowo!

WALENTYNA (z rozpaczą)

Ocal mię od niesławy!

JERZY (spokojnie)

Choćby i z największą ofiarą?

WALENTYNA (załamując ręce).

Choćby i z największą ofiarą!

JERZY.

Dobrze więc (wyjmuje z kieszeni pistolet i odciąga kurek). Bądź pani spokojną, stań za mną. (prowadzi ją ku samym drzwiom balkonu). Słyszysz pani? probują klucze... Nie podchodzą, jeszcze raz, ot jakiś klucz przypadł. Otwiera, lecz ja zasunąłem zasuw-



kę. A! to są tylko złodzieje, ta więc broń nie potrzebna (kładnie pistolet do kieszeni). Otoż i łamią drzwi; uspokój się, uspokój baronowo! (Drzwi się otwierają, wchodzi Cygan za nim ukazuje się Arfiarz).

JERZY

(jednym uderzeniem obala z nóg Cygana, który jak martwy pada, Arfiarz w popłochu zeskakuje z balkonu).

Teraz bądź zdrowa pani, trupa sam zrzucę z balkonu. Dobranoc, dobranoć, proszę kazać mocno drzwi zamknąć.

(szmer w oddali).

BENJAMIN (za sceną).

Tutaj! tutaj! co najprędzej, żołnierze! Gwałtu, złodzieje! ratujcie!

JERZY (odstępuje z balkonu).

BENJAMIN.

Tutaj, tutaj, złodzieje! chwytajcie ich! (porywa za piersi Jerzego).

JERZY.

Głupcze!

BENJAMIN (odskakuje z przestraschu).

Co to jest?... ratuj się pan (spogląda na balkon). Tfu! do licha! już nie czas.

JERZY.

Zrzuc drabinę. (Benjamin spełnia rozkaz, Jerzy prowadzi osłabioną Walentynę do kanapy). Połóż się pani tutaj. Pani spałaś... (spoziera na stół). A! brylanty!... Powiedziałaś mi: *choćby i z największą ofiarą!*... Bądź więc spokojna, jużś ocalona (chwytając ze stolika pudełko z brylantami i szybko je chowa do kieszeni). Prędzej, daj mi swój kapelusz Benjaminie,—ja złodziej i ty mię nie znasz, trzymajże mię i krzycz, co masz siły.

BENJAMIN.

Co za licho! (niby się z nim pasuje i krzyczy). Gwałtu! złodzieje! rozbojnicy, ratujcie! (Żołnierze wdzierają się na balkon i wlamują się we drzwi).

Walentyna.

## PORUCZNIK FON SZTOLPE I ŻOŁNIERZE.

Ratujcie! ratujcie, ja go trzymam, ratujcie! dopomóżcie mi!

PORUCZNIK FON SZTOLPE.

Chwyćcie łotra! (Jerzy wnet przybiera groźno-spokojną postać).  
Obszukajcie go! (przetrzęsają mu kieszenie). Co! brylanty, pistolet, schwytyany więc na uczynku? a otoż tam leży rozciągnięty i drugi.

JERZY.

To wasz łajdak towarzyszył go zabił, oto ten (pokazuje na Benjamina). Odpłacisz ty mi za to, zobaczysz!...

BENJAMIN (zadziwiony).

Ja?... (spójrzawszy na Jerzego). Tak, a tak, to ja, panie poruczniku, rozprawiłem się z tym drugim.

PORUCZNIK.

Podejmijcie go, jeszcze się on ocuci. Wyprowadźcie i tego zucha.

BENJAMIN.

Jak to? mnie! za co? Toż zupełnie bezprawnie.

WINNEG

(szybko wchodzi z przewiązaną głową).

Uwolnijcie go, on to mi pomógł schwytać łotrów. Mój Boże! pani tu? baronowo!

WALENTYNA

(z ciężkością podnosi się z kanapy).

WINNEG.

Złoczyńcy schwytyani. Przybliżcie tu pochodnie, zobaczymy co to za ptaszek!... Co to jest?... Zalfeld!... złodziej!...

JERZY.

Tak, jam złodziej, a tyś nikiemnik!

WINNEG (wściekając się prawie z gniewu).

Wtrąć go natychmiast do więzienia.



JERZY.

(Daje znak Benjaminowi, żeby mlezał i wychodzi razem ze strażą, Winne-  
giem i oficerami. Walentyna z krzykiem rozpaczy, pada na kanapę. Be-  
niamin zatamawszy ręce wybiega).

---

**AKT IV.**


---

**SCENA I.**

(Skromnie ubrany pokój)

WALENTYNA, ROBERT.

WALENTYNA.

Weź to pismo Robercie! Kiedy jego książęca mość i mi-  
nister Winneg, przyjdą tu do mnie, ja zadzwonię i popro-  
szę o szklankę wody; wtedy mi podasz to pismo. Wiem  
że śmiało polegać mogę na tobie mój stary Robercie, tyś  
mi wiernym pozostał do końca. Czy już moja służąca od-  
jechała?

ROBERT.

Stosownie do rozkazu pani. Bardzo, bardzo płakała  
i chciała raz jeszcze prosić panią o przebaczenie.

WALENTYNA.

Nie mogłabym się z nią widzieć. Tylem jej okazywała  
zaufania, a ona tak szkaradnie zdradziła mię! Och! boleśną,  
niezmiernie głęboką zadała mi przykrość, Robercie.

ROBERT (z uszanowaniem całuje jej rękę).

WALENTYNA.

Przed tobą nie lękam się zapłakać.

ROBERT.

Bóg da, że wszystko z czasem będzie lepsze.

WALENTYNA.

Wątpię o tém. To nie wypadki w koło nas otaczające, ale my sami powinniśmy stawać się coraz lepszymi.

SŁUŻĄCY, KSIĄŻE, MINISTER

SŁUŻĄCY (otwiera na oścież śródnie drzwi).

Jego książęca mość! (służący i Robert wychodzą)..

KSIĄŻE.

Niechętnie, z potrzeby tylko przychodzimy tutaj, i odważamy się niepokoić cię, baronowo! Dzisiaj pani powinnabyś odpoczywać. Ale spodziewam się, że wybaczyć raczysz, przez wzgląd na moje pragnienie ukarania, ile można najprędzej, przestępców, którzy się ośmielili taką nabawić cię twardogą. (Idzie z nią na przód sceny). Możeszże pani przebaczyć mój wczorajszy nieszczęsny wyskok? Uważaj go proszę za bezrozumny sen. Żałuję, mocno tego żałuję, przeszliczna Walentyno!

WALENTYNA (poważnie).

Po rozmowie naszej, zaszło tutaj tyle nadzwyczajnych wypadków, że prawdziwie ani jednej chwili nie miałam czasu do pomyślenia o W. Ks. M.

KSIĄŻE.

A zatem między nami pokój?

WALENTYNA.

Pokój.

KSIĄŻE.

Badania odbywać się będą pod bezpośrednim mym dozorem. (cicho). Mam nadzieję, że tym sposobem, unikniemy wszelkiej bepotrzebnej wzmianki względem wiadomych pani okoliczności...

WALENTYNA.

W. Ks. M. masz w tém zupełną słusność.



KSIĄŻE.

Minister Winneg stosownie do mojego rozkazu, sam wyszedł wszystko, cokolwiek się zdarzyło. Może pani raczysz wysłuchać go i dodać też swoje uwagi?

WALENTYNA

Gotowam słuchać. (siadając; książę przy Walentynie).

KSIĄŻE.

Mówże Winnegu!

MINISTER.

Wczoraj koło północy, hrabia Winneg przechodził mimo tego pałacyku. Wtém nagle silne uderzenie pięścią w głowę, obaliło go na ziemię bez czucia. Ocutił się za pomocą mimo przechodzącego niejakiegoś Benjamina Sztube i obadwa ujrzeli, jak dwaj ludzie podstawili drabinę, i wdarli się po nią na balkon.

KSIĄŻE (pół głosem do Walentyny).

Gdzież się to podziała jedwabna drabinka?

WALENTYNA.

Tu jest: u mnie.

MINISTER.

Podjezwając w tём złoczynstwo, hrabia przywołał straż gdy tymczasem Sztube wbiegł na drabinę. Znalazł w salonie dwóch ludzi: pierwszego wnet obalił na ziemię, drugiego chwycił za pierś. Hrabia Winneg przybył też wkrótce z żołnierzami i poznał w drugim złoczyńcy trzymanym przez Benjamina, osobę przedstawioną nie dawno W. Ks. M. pod imieniem Zalfelda.

WALENTYNA (na stronie).

O! mój Boże!

MINISTER.

W kieszeni winowajcy znaleziono nabity pistolet i pudełko z brylantami. Cygan nasamprzód dowodził, że sam

jeden tylko był przyszedł, lecz przy drugim badaniu wyznał, zgodnie z dowodzeniem Zalfelda, iż zmówili się razem wkraść się do pałacyku i zostali pojmani na uczynku przez Benjamina Sztube. Teraz baronowo, pozwól mi do siebie zanieść prośbę, abyś nam raczyła opowiedzieć to wszystko, coś tylko sama widziała i słyszała.

WALENTYNA (z wysiłkiem).

Ja nie wiele powiedzieć o tém mogę. Odesławszy swoje służące, zadrzemałam na kanapie. Rozbudził mię wkrótce krzyk: *na pomoc! gwałtu złodzieje, ratujcie!* i ujrzałam w moim salonie jakieś nieznanome postacie dążące się z sobą, drzwi się otworzyły, żołnierze wbiegli i schwycili obu tych ludzi, trzeci przytém leżał na ziemi. Ze strachu nareście omdlałam.

MINISTER.

Czy to pudełko należy do pani baronowej?

WALENTYNA (wstając),

Tak, są to moje brylanty.

MINISTER.

Czyż to samo pudełko znalezione w kieszeni przestępey?

WALENTYNA (słabym głosem)

Tak.

MINISTER.

I ten człowiek nazywał się Zalfeldem?

WALENTYNA.

Tak.

MINISTER

(przenikliwie spoglądając w oczy Walentynę).

Dwoje drzwi od salonu, na zamek zamknięto: trzeba je było wylamywać.

(Księżo z niespokojnością pogląda na Walentynę).



WALENTYNA.

To musiała być omyłka mojej służącej: sądząc, że*m* już odeszła do sypialni, według zwyczaju drzwi zamknęła.

KSIĄŻE

Ty*s* już znużona, baronowo! Zdaje się, że cała ta sprawa i jasna i oczéwista, dalszych nie potrzebuje wywodów. Dosyć więc, już dosyć Winnegu!

MINISTER.

W. Ks. mość raczysz mi jeszcze pozwolić, zadać dwa albo trzy zapytania (Walentyna siada). Zostający pod sądem Zalfeld, przedstawiony został u dworu przez samą panią baronową, czy nie zgodzisz się przeto pani, objaśnić księciu, jakim to sposobem udało się mu omamić, tak powszechnie znajomą przezorność pani?

WALENTYNA.

Przywiózł mi list od przyjaciółki mojej, która bardzo wychwalała zdolności jego. Wreszcie i ja sama znalazłam w nim wiele ukształconego i rozamnego człowieka. (ze znaczeniem). Jeżeli*m* nazbyt zaufała niegodnemu, toż więcéj za to od wszystkich ucierpiałam.

MINISTER.

Wczoraj już słowa pani rzuciły podejrzenie na tego Zalfelda przed jego książęcą mością.

WALENTYNA.

Postępowanie jego wydało się mi dziwném.

KSIĄŻE.

Tak, prawda, baronowo, twój trafny pogląd pierwszy w nim odkrył jakiego*s* awanturnika.

MINISTER.

Hrabia Winneg powiada także, iż ten Zalfeld, od samego początku, wydał się zagadkową i podejrzaną osobą: przed jego jeszcze przedstawieniem u dworu, widział go

już w bardzo ścisłych stosunkach z różnemi podejrzanemi osobami. Hrabia także miał zręczność zauważać, że to człowiek niepewnej poczciwości.

WALENTYNA.

O! Boże!

KSIĄŻE.

Ani wątpić, że nas wszystkich wywiódł w pole, ten zręczny, przebiegły oszust.

MINISTER.

Tak więc już teraz wszystko a wszystko wyjaśnione, oprócz jednego tylko punktu.

KSIĄŻE.

A mianowicie?...

MINISTER.

Tyczy się to rzetelnego stanowiska winowajcy. Otacza je teraz jakaś nieprzenikniona pomroka. Uporczywie odmówił udzielić cokolwiek bądź ściągającego się do jego rodu, pochodzenia i ojczyzny: według świadectwa badających, jest to człowiek nadzwyczajnego umysłowego ukształcenia, lub przynajmniej rzadkiego rozumu,—czego dowodzą, między innymi kartki pisma, znalezione w jego pugilaresie. Prawda: myśli są tam dziwne i niezupełnie potrzebne, lecz wszędzie ton prawego i wyższych usposobień człowieka.

WALENTYNA (dzwoni, wchodzi Robert).

Podaj mi szklanę wody.

KSIĄŻE

Niewiadomo z pewnością, czy się on istotnie nazywa Zalfeld. Może i tu jest wymysł.

MINISTER.

Pasport jego najmniejszej nie podlega wątpliwości w tym względzie. Dziwna rzecz także, iż jego mieszkanie przy pierw-



szej rewizji okazało się całkiem puste. Słowem: ten człowiek musi być albo przestępcą, albo jakąś niedocieczoną zagadką.

KSIĄŻE.

Najpewniej razem i jedno i drugie.

ROBERT

(przynosi na tacy szklankę wody i pismo).

Tylko co je tutaj przyniesiono.

WALENTYNA.

Adressowane do p. ministra W. Ks. mości.

KSIĄŻE.

Weźże je Winnegu.

MINISTER (na stronie).

Charakter ręki wyraźnie udany (czyta z cicha). Zalfeld, wczorajszy złodziej, jest nie kto inny, tylko rodzony twój synowiec Jerzy.

KSIĄŻE (widząc pobladłego ministra).

Co ci to jest, Winnegu?

MINISTER.

Przebacz wasza książęca mość, postrzegam sposób dowiedzenia się czegośkolwiek względem rodu przestępcy.

KSIĄŻE (stara się okazać spokojnym).

Alboż już ta nieszczęsna historia ma koniecznie nas wszystkich dotykać? Baronowa blizka omdlenia, tyś błąd i pomieszany, jakbyś coś okropnego się dowiedział. Winnegu, ja stanowczo chcę, aby ta licha sprawa, według zebranych już dowodów, jak najprędzej rozstrzygniętą została. Niechaj sąd wyda niezwłocznie wyrok, niech przestępca otrzyma karę, na jaką zasługuje. Bądź zdrowa Walentyno! moim obowiązkiem jest ukarać tych, którzy zakłócili twój sen, ty zaś pani masz prawo właściwe świętym, prawo przebaczenia wszelkim ułomnościom winowajców. (odchodzi z ministrem).

WALENTYNA (zakrywa twarz dłońmi).

O! mój Boże! mój Boże!

KSIEŻNICZKA MARJA

(ukazuje się we drzwiach bocznych).

Czy jesteś tu?... (wchodząc) Co to znaczy? mój panujący Walentyń wrzuszony i skłopotany, pan minister coś bardzo krzywo spogląda, a twoje oczy Walentyńno, zapłakane! Ciebie okradli biedaczko! (śmieje się).

WALENTYNA (z wysiłkiem).

Wasza książęca mość dziś, jak widzę, bardzo wesoła

MARJA (pieszcząc ją).

Nie będę wesoła, jeżeli to dla ciebie przykro. Lecz nie mogę się nie śmiać, kiedy pomyślę, że *on złodziej!* (śmieje się). To już za nadto głupio!

WALENTYNA.

W jakiej to myśli tak mówisz W. Ks. mość?

MARJA.

Nie udawaj, figlarko! sama to rozumiesz doskonale (przyciąga ją do siebie na kanapę). Słuchaj Walentyńno! i ty i książęca matka a czasami i mój najmiłościwszy braciszek, wy wszyscy, postępujecie ze mną, jak z niedorzecznym dzieciątkiem, lecz jam pomimo tego rozumiejsza, niżli sobie wyobrażacie.

WALENTYNA (niecierpliwie).

Marjo! ty się odzywasz samemi zagadkami.

MARJA.

Dobrze, więc ci powiem ciekawą tajemnicę. (poważnie). Obwiniony wcale nie jest złodziejem.

WALENTYNA (ze zmuszoną spokojnością).

Skądże wiesz o tém?

MARJA.

Już to widać z pierwszego nań spójrzenia. Człowiek z tak jasnymi jak on oczyma, w żaden sposób nie może być złodziejem.



WALENTYNA.

Bardzo często powierzchowność zawodzi.

MARJA.

Tylkoż nie w tém zdarzeniu. Mnie zawsze z nim było tak błogo w duszy, iż najmocniej przeświadczoną jestem, że to jest bardzo dobry człowiek, Walentyno! Kiedy on ze mną rozmawiał, to mnie się zdawało, że słyszę rodzzonego brata.

WALENTYNA.

Więc on i ciebie oczarował.

MARJA.

Z początku nie wiedziałam, jakby go z blizka pojąć. On spokojny, niewymuszony, przystępny i bynajmniej nie dumny. Nakoniec odgadłam, że on wcale nie jest tym, kim się tutaj mianuje.

WALENTYNA.

Księżniczko!

MARJA.

On wcale nie Europejczyk, może to jaki udzielny, indyjski książę.

WALENTYNA.

Marzysz sobie pięknie w żywej swój wyobraźni.

MARJA.

Wyobraź sobie, jego skóra, tak jak u wyspiarzy nacechowana.

WALENTYNA (wzrusza ramionami).

MARJA.

On cechowany. To dziki wyspiarz. Zdjął był raz rękawiczkę i dostrzegłam na jego ręce wykłótą misternie jaszczurkę, drobniotkami niebieskimi punkcikami.

WALENTYNA.

Bywają także piętnowani ludzie przestępni, do ciężkich kar przeznaczeni.

MARJA.

Jakże ci nie wstyd mówić podobne rzeczy! Raz podał mi chustkę, a ta chustka jego była skropiona owemi nowemi perfumami, które nam jako rzadkość, przywiózł poseł z Paryża.

WALENTYNA.

Trafem dostał, nic więcej.

MARJA (upewniając).

Nie, to najpewniejszy już dowód. Kto takich używa zapachów, to pewnie do naszego wyższego należy stanu: to pewniejsza od książęcej korony.

WALENTYNA.

Może się zaprzyjaźnił z fabrykantem tych perfum.

MARJA.

Dosyćce tego Walentyno, przestań udawać. Mnie nie zwiedziesz. (szepce jój w ucho). On cię kocha.

WALENTYNA (powstając z przest్రachu).

Wasza książęca mość!

MARJA.

Kocha ciebie, powtarzam. Chciał się z tobą pożegnać i kryjomo przyszedł do ciebie, a tym czasem złodzieje się wdarli. O! wszystko, ja wszystko odgaduję (ściskając ją). Miła, droga moja Walentyno, nie płacz, ja nie wydam twój tajemnicy. On śliczny i szlachetny; Walentyno! kochaszże jego?

WALENTYNA (wspierając się na jój ramieniu).

Ja się go boję.



MARJA.

To znaczy, że już jest tobie miły! Nie, nie lękaj się, wszyscy go poczytują za przestępcę, oprócz mnie jednej (pieszcząc ją). Ja cię tak kocham Walentyno (ciecho). W tych czasach między nami było coś tak wymuszonego, ja... ja!.. zazdrościłam, Walentyno!

WALENTYNA.

Ach! Marjo! ja wiem, że ci sama do tego dawała powód. (całując jej rękę). Byłam w strasznym niebezpieczeństwie, lecz teraz, już to wszystko minęło.

MARJA.

Od tej chwili, jak on ukazał się tutaj?

WALENTYNA.

Tak, od tej chwili.

MARJA.

O! ja widziała, że to mój dobry genjusz! Cóż teraz zamierzasz czynić Walentyno?

WALENTYNA.

O nim myśleć,... a może... może od niego i uciec.

MARJA.

A on?

ROBERT (wchodząc)

Pan radzca Miller.

WALENTYNA.

Czegoż żąda odemnie?

ROBERT.

Przyszedł w sprawie tyczącej się kradzieży.

WALENTYNA.

Bezustannie ta nieszczęsna historia! księżniczko!... zmuszona będę przyjąć go.

Walentyina.

8

MARJA.

Przyjm, Walentyno, lecz ile możności, co najprędzej go odpraw, a mnie posłuchaj, szanuj się, oszczędzaj zdrowie swoje. Dziś odmówiłam pływanię łódką, i jeżeli pozwolisz, przebędę u ciebie wieczór cały, na twoim taburecie, będę cię strzegła, pielęgnowała...

WALENTYNA (bierze ją za rękę).

O! droga moja Marjo!

MARJA (całując ją).

Do widzenia! (U drzwi spotyka Millera, który jęj z uszanowaniem głęboki oddaje ukłon. Robert ustawia krzesła i odchodzi).

MILLER.

Wybaczyć mi łaskawie raczy pani baronowa, jeżeli ją utrudzam. Przychodzę tu jako przyjaciel Jerzego Zalfelda.

WALENTYNA (z zadziwieniem).

Pan znasz pana Zalfelda?...

MILLER.

Wychowaliśmy się razem. Dzisiaj zrana wbiega jego sługa, przynosi mi jego papiery i rzeczy i powiada, że Zalfelda schwymano w domu pani, że go obwiniono o kradzież i że sam do wszystkiego się przyznał. W mieście wszyscy o tém już mówią, wszędzie słyszę potwierdzenie téj wieści. Wprzód więc, nim rozpocznę urzędowe rozjaśnienie nieszczęsnej sprawy, aby koniecznie odkryć wyraźny w tém wszystkiém błąd i jakąś dziwną okoliczności gmatwaninę, wprzód poczytałem sobie za powinność udać się do pani a to dla tego, iż mocno przeświadczony jestem, że pani także w żaden sposób uważać nie możesz mego nieszczęśliwego przyjaciela, za tak nikczemnego przestępcę.

WALENTYNA.

Przypuśćmy, że tak jest...



MILLER.

Wiedziałem o tém. W takim razie, błagam cię pani, wskaż mi sposób, co najprędzszego wyjaśnienia całej téj sprawy i uniewinnienia mego biédnego Jerzego.

WALENTYNA (po chwilowém milczeniu).

Czyń pan to wszystko, co tylko do swego działania za potrzebne uznasz, mów wszystko, cokolwiek tylko wiesz, lecz w żadném zdarzeniu nie odwołuj się do mnie!

MILLER.

Jednakże, pani musisz to sama pojmować łatwo, żeś jedna tylko jest w stanie dostatecznie rozwikłać tak dziwną zagadkę.

WALENTYNA

Ja?... a jeżeli ja niechcę?...

MILLER.

Pani nie chcesz? Człowiek pada ofiarą niedocieczonego węzła tajemnic, może nawet, jeśli się nie mylę w domysłach, niesłychanej w świecie wspaniałomyślności; a pani możesz zostawać obojętnym świadkiem jego zguby, pani, która zapewne stałaś się przyczyną tego wszystkiego? a wieszże pani o tém, że tu rzecz idzie o honor szlachetnego człowieka?

WALENTYNA (powstając z godnością).

Lecz téż i o honor szlachetnej kobiety.

MILLER (z goryczą).

O honor twój, baronowo?

WALENTYNA (z mocą).

Gdybym była mężczyzną, zapłaciłbyś mi natychmiast za ten szyderczy uśmiech, za tak liche, niegodne słowa, alem ja kobieta i dawno już nawykła wszelkimi gardzić potwarzami. Chcę tylko powiedzieć panu słów kilka, jako przyjacielowi najgodniejszego z ludzi. Przypuśćmy, że

twój przyjaciel zachciał spełnić olbrzymią, niesłychaną ofiarę: jakież masz pan prawo samowolnie mu w tém przeszkadzać? Alboż to on sam, nie dosyć potężny, rozumny, odważny, żeby bez niczyjjej pomocy wybrać dla siebie postępowania drogę? Panu zostaje tylko żałować go, a może też i dziwić się jemu. Jeśli zaś twój przyjaciel panie, poświęcił siebie dla kobiety, to czyż już tego pojąć nie zdołasz, że ta kobieta oddaje się mu wzupełności, gdy przyjmuje taką ofiarę? To com przedsięwzięła uczynić, zostaje jeszcze pomiędzy Bogiem a mną!... lecz tobie zacny panie, radzę szanować wolę cierpiącego. (Oboje rozchodzą się w rozmaite strony).

---

## S C E N A II.

(więzienie, z boku widać okno z kratami, z przodu ławeczka, Jerzy w kajdanach).

CYGAN, DOZÓRCA WIĘZIENIA,

DOZÓRCA.

Siadajcie tutaj, łajdaki, a ja pójde przyrzadzić jemu (wskazuje na cygana) inną izbę.

CYGAN.

I gdzież to mię zasadzisz?

DOZÓRCA.

W wieży. (odchodzi).

CYGAN.

Przekłęci! tam pełno szcurów, to z twojej łaski łotrze!

JERZY (wesolo siadając na ławeczce).

Mojej? szanowny mężu, a toż dla czego? Niesprawiedliwyś, jak uważam, sam dla siebie. Wszakże szcury i kruki w najściślejszym są zawsze stosunku z twoim ślicznym przemyślem.



CYGAN.

Moim przemysłem?... A tyś sam nie złodziej, bezecny hultaju!

JERZY.

Słuchajno, bratuniu, proszę cię bądź troszeczkę grzeczniejszy. Myśmy teraz z tobą dwa kasztany w jednej skorupce, a skorupka będzie dla nas bardzo ciasna, jeśli ty nie przestaniesz junaczyć.

CYGAN.

No! tak, precz stąd, precz za drzwi, obrzydliwy włóczęgo!

JERZY.

Znam inny jeszcze na ciebie sposób. Oto zatkam ci gębę własną chustką twoją.

CYGAN.

Spróbuj-no!

JERZY.

Przypomnij bratku, choćby tak sobie nawiasem, ów kutał, który cię onegdaj, tak trafnie dźgnął po boku (na stronie). Z tymi ludźmi pomimowolnie stać się trzeba krzykaczem.

CYGAN (groźąc).

O! zato uderzenie, jeszcze mi odpłacisz hultaju!

JERZY.

Zapewne. Nie zapomnij jednak, iż tobie obiecano są pieniądze, jeśli przed sądem potwierdzisz to wszystko, cokolwiek ja tylko powiem.

CYGAN.

Lecz kiedyż u licha dacie mi te pieniądze?

JERZY.

Za trzy dni. Jeżeli nie otrzymasz przyrzeczonej summy, będziesz mógł wtedy gadać sobie co zechcesz, wreszcie sam wiesz, że przez to bynajmniej nie pogorszysz swęj sprawy.

CYGAN.

Zgoda zatém: poczekam ze trzy dni.

JERZY.

Naco tobie pieniądze w turmie?

CYGAN.

To moja rzecz. Wszędzie są pieniądze pożądane, a w więzieniu dwa razy są cenniejsze. Ale skądże pieniądze dostaniesz?

JERZY.

To znowu moja rzecz.

CYGAN.

A dla czegoż tak tobie chce się koniecznie być moim towarzyszem?

JERZY.

To do ciebie nic a nic nie należy, ależ już pewnie nie dlatego, żeby się napawać przyjemnością twojej złodziejskiej obecności. Tyś wcale nie powabny ptaszek.

DOZÓRCA (do Cygana).

Daléj zamną! już twoja izba urządzona.

CYGAN,

Ha! wolę żyć ze szczurami, niżeli z tym urwipółciem.

(odchodzi z dozórcą).

JERZY (patrząc za nim).

Od takiego człowieka, nikt nic dobrego doczekać się nie potrafi.

BENJAMIN, DOZÓRCA.

BENJAMIN (wychodzi).

Co ja widzę? w kajdanach? (z gniewem.) Jak śmieliście zakuć go w łańcuhy? To niesprawiedliwie, to zupełnie bezprawnie. Wszakże sam do wszystkiego, do czegoście tylko chcieli, przyznał się dobrowolnie, a wy odważyliście się zakuć go? To bezsumiennie, to ucisk, to całkiem przeciwne kryminalnym ustawom. Może myślicie, że nie znam prawa?



DOZÓRCA.

Milcz Benjaminie, bo inaczej precz cię stąd odpędzę (wychodzi).

BENJAMIN. (krzyczy za odchodzącym).

To zupełnie przeciwko prawu! (Zbliża się ku Jerzemu i maca palcami jego okowy: poczem ze wzgardą się odzywa). Głupcy! bądź pan spokojny, jedno uderzenie a rozlecą się w druzgi. Co za cymbały! I to oni zwą kajdanami? Doprawdy aż śmiech bierze pomyśleć, że takimi lichymi niteczkami, sądzą iż pana przytrzymają, takiego człowieka, jak wielmożny pan!

JERZY (śmiejąc się).

I ja podobnie myślę, Benjaminie! Lecz czemu się tak kłócisz?

BENJAMIN (skromnie).

Trzebaż, wielmożny panie, umieć godność swoją zachować przed policją, a to inaczej ten przeklęty ród! Bóg wie, czego by sobie nie pozwalał.

JERZY.

Masz słuszność Benjaminie, teraz mi powiedz, jakim cię sposobem tu wpuszczono?

BENJAMIN.

Dozórca, jest mój dawny przyjaciel, miałem też przy sobie pieniądze, którem dostał od wielmożnego pana.

JERZY.

I tyś je oddał, żeby widzieć się zemną? I czemuż to winienem zaszczyt takich odwiedzin?

BENJAMIN (z powagą).

Wielmożny panie! upłynęły trzy dni i z niemi nastał koniec spólnej umowy naszój.

JERZY.

A u ciebie znikła ochota być nadal poczciwym?

BENJAMIN

Ha! dobra to pocziwość! Pierwój kradłem a jutro będę musiał kłamać przed sądem, z rozkazu i woli pańskiej.

JERZY (powstając).

Zarzut twój sprawiedliwy, serdecznie żałuję Benjaminie, że sprawa przyjęła taki obrót.

BENJAMIN.

Uspokój się pan. Ach! takeś był dobry dla mnie, a ja to właśnie stałem się przyczyną twojego nieszczęścia.

JERZY.

Prawda, tak okropnie wtedy wrzeszczałeś!

BENJAMIN.

Jak osioł, wielmożny panie, jak prawdziwy, niczém niezaprzeczony osioł, ależ dzisiaj za to, krzepko się trzymałem przed sądem? Nie prawdaż?

JERZY.

Wyśmienicie. Tyś przebiegły, jakby wcielony szatan.

BENJAMIN.

Wielmożny pan zawsze dla mnie pobłażający. Arfiarz umknął i nikt ani pomyślał o nim, kiedy wielmożny pan, ni stąd ni z owąd raczyłeś zastąpić jego miejsce.

JERZY.

A w ogólności, wszystkoż idzie dobrze?

BENJAMIN.

Jak niemożna już lepij! W całej stolicy i we wszystkich jej okolicach aż włosy powstają na głowie z okropnego postępu wielmożnego pana.

JERZY.

Wybornie! Ależ moje papiery, moje mieszkanie... zapewne przetrząśnięto i zabrano.

BENJAMIN.

Tak, ale już gniazdeczko było zupełnie puste.



JERZY.

Jak to?...

BENJAMIN.

Dziś zrana o godzinie czwartej odniosłem pańskie papiery, rzeczy i pieniądze do p. radcy Millera i on to wszystko w mojej obecności popieczętował.

JERZY.

Benjaminie, tyś człowiek nieoceniony!... teraz nasza sprawa pójdzie najprzewyborniej. To pewna!

BENJAMIN.

Tak panie, to pewna, że pan na lat pięć albo sześć, osadzonym zostaniesz w domu poprawy. Chyba już wielmożny pan nie dbasz o to, chyba już bywałeś pod sądem?

JERZY (z uśmiechem).

W témże to i rzecz cała, mój Benjaminie.

BENJAMIN

(zażywając tabakę i powoli jakby cedząc przez zęby).

Ha! to w takim razie,... można sobie policzyć... siedzenia... i do... piętnastu lat!

JERZY.

Wkrótce się o tém przekonamy. Teraz pomówmy nieco o tobie biedaku!

BENJAMIN (na stronie).

On mię zowie biedakiem a jam swobodny, kiedy jemu przyjdzie posiedzieć w kajdanach przez lat piętnaście!

JERZY.

Jam ci najszczerzej pragnął dobra, ty masz rozum, żywość, pewne, lubo jeszcze grube, uczucie godności, może być także niezupełnie zakrzepłe serce. (z uczuciem). Benjaminie, żałuję mocno, i to dla ciebie, mój kochany, żeś uwięziony. Daj mi rękę przyjaciela i bywaj zdrow; bo już nic więcej dla ciebie zdziałać nie jestem w stanie!

BENJAMIN.

Ależ ja niemam zamiaru tak się z panem rozstawać. (nieśmiało). Panie! czyby też nie można było odnowić naszą umowę?

JERZY.

Benjaminie! czyż ty się chcesz przyłączyć do obecnej mój doli?...

BENJAMIN.

Ja pójdę za panem równo w ogień jak w wodę.

JERZY.

I zupełnie zaniedbał dawniejsze swe rzemiosło?

BENJAMIN.

Straciłem doń ochotę odtąd, jak wielmożny pan, zacząłeś mi w tym względzie chleb odbierać. Dwa dni poczciwości, jakoś mię tak zmieniły, na trzeci dzień poszkapilem się i okropne zrobiłem głupstwo, które trzeba poprawić koniecznie!

JERZY.

Niechajże i tak będzie. Wydrę tę duszę ze szponów czarta! Zgoda mój Benjaminie, zostaniesz nadal u mnie sługą. Idź do radzcy Millera, aby ci dał środki utrzymania się, póki mię stąd nie wypuszczą i powiedz mu, aby milczał, jeśli mię po dawnemu kocha.

BENJAMIN.

Idę. Słyszę jakiś tam u drzwi szelest. Zapewne nas podsłuchiwa policjant (ze znaczeniem). Wielmożny pan niema też innych jeszcze jakichkolwiek dla mnie rozkazów?

JERZY.

Wiem, że będziesz ostryżny.

BENJAMIN.

A więcej nic? Czyliż mi przyjdzie oczekiwać piętnaście lat, nim panu wyczyszczę suknie?



JERZY.

O! nie! Posłuchaj tylko, muszę przed wszystkiemi rozślawić się wszędzie jako złodziej, lecz do tego nie potrzeba koniecznie, abym przez lat piętnaście pozbawiony był twój miłej obecności. Kiedy w tej porze wschodzi księżyc?

BENJAMIN.

Po północy.

JERZY.

A kiedyż masz przysięgać u sądu?

BENJAMIN.

Za dni trzy.

JERZY.

Dobrze: więc nie dopuszczę cię do tego. Za dwa dni będę wolny. Oto mój sposób wyzwolenia się. (pokazuje na okno). Ty będziesz zemną.

BENJAMIN (ucieszony).

Wybornie, przedziwnie, doskonale, za dwa dni! możesz pan śmiało polegać na mnie. Choć prawdę mówiąc, nie ma też i wielkiego honoru wydobyć się z tak lichego kurnika.

DOZÓRCA (śpiesznie).

Precz stąd, precz! co najprędzej! łajdaku! nadchodzą goście, jeszcze oberwę burę, gdy tu ciebie zobaczą.

BENJAMIN.

No! no! nie szumże tak zawzięcie mój mości policjancie! (do Jerzego). Żegnam pana (wyprowadzają go).

JERZY.

Bywaj zdrów mój przyjacielu! (słychać szmer). Znowu jesteś. Widać, że to więzienie nie według pensylwańskiego systematu zbudowane.

MINISTER, DOZÓRCA.

MINISTER,

Zostaw mię z obwinionym.

JERZY (na stronie).

O Boże! to mój stryj!

MINISTER (pochodzi ku niemu, srogo).

Patrz mi prosto w oczy!

(Jerzy patrzy na niego, milczenie).

MINISTER (upadając na lawezkę).

Boże miłosierny! to on!

JERZY (na stronie)

Żal mi go. Zestarzał. (głośno, spokojnie) Co go przywiodło do mojego więzienia?

MINISTER.

Znasz mię?

JERZY.

Być może.

MINISTER.

Czy sam napisałeś te słowa? (podaje kartkę Walentyny).

JERZY (bierze kartkę).

Nie. (na stronie). To ręka Walentyny! Co to jest?...

MINISTER.

Nieszczęsny szaleńcze, doczegoś ty doszedł?

JERZY (na stronie).

Ona chce zapewne, żeby mi stryj pomógł w niedoli. O! dzięki ci Walentyno!

MINISTER.

Bezwstydnny przestępca, łotr bez najmniejszego sumienia, nikczemny oszust, podły złodziej!...



JERZY (spokojnie).

Jerzy Wineg zakuty w kajdany jak zbójca. Jerzy Wineg był biednym sierotą i nie miał innego opiekuna prócz rodzonego swego stryja. A teraz z kolei zapytać mogę, co zrobił ów stryj, żeby ochronić sierotę od zguby, od upadku? On użył całej surowości prawa przeciw pełnemu zapału młodzieńcowi, wyгнаł go z rodzinnego kraju za dziecinne, lekkomyślne wyskoki, i puścił go w świat bez podpory, opieki, bez doświadczenia, a może nawet i bez pewnych stanowczych zasad moralnego ukształcenia. Czyli ma prawo taki stryj miotać obelgi i przekleństwa, jeśliby synowiec niegodziwym stał się człowiekiem? Lecz twoja boleść wzrusza mię, tyś już starzec, a na twarzy twojej postrzegam ślady podobieństwa do rysów twarzy mojego ojca i dla tego oświadczam, że ci stryju z głębi duszy mojej przebaczam wszystko, w czémkolwiek tylko zawiniłeś przedemną.

MINISTER,

Co za wymowa? (powstając, zimno). W słowach twoich jest gorzka prawda, i przyjmuję ją za karę na którą zasłużył, z ust winowajcy. Lecz nie zapomnij też, że człowiek stanu, mający sobie powierzone losy całej krainy, ma wcale inne obowiązki niżli zajmowanie się krewnymi.

JERZY.

Dobry człowiek wypełniałby prawo ze skrucą serdeczną, lecz ty stryju postępowałeś jak wróg, chłodno, obojętnie, okrutnie!

MINISTER.

Lecz tu chodziło o godność moją, jedyną nagrodę za życie spędzone w bezustannych dla ojczyzny usługach: tu rzecz szła o ufność mego monarchy. Powinienem być, musiałem okazać się surowym, żeby samemu uwolnić się od podejrzeń.

Walentyna.

JERZY.

Tak, prawda, poświęciłeś mię temu, co nazywasz godnością swoją. Ale przestańmy mówić o tém. Przyszedłeś mię teraz odwiedzić stryju, co dowodzi troskliwości twojej o nazwisko naszego rodu, a może też i niejakięs cząstki litości dla mnie. Lecz niech cię moja przyszłość równie mało teraz obchodzi, jak niegdyś obchodziła przeszłość. Dobrowolnie zupełnie przyrzekam ci, nigdy nikomu nie objawić, że noszę nazwisko twoje. Tutaj dwie tylko osoby wiedzą o mojm pochodzeniu; a ja za te dwie osoby tak ręczę, jak za samego siebie.

MINISTER.

Lecz ktożes ty niepojęty człowieku? W spojrzeniu twojm szlachetna wykazuje się duma, a przyznajesz się do najbezpieczniejszego przestępstwa? Cóż ci dało prawo zlitować się nad starcem. Jerzy! tyś nie jest złodziejem!

JERZY (obojętnie).

Być może, może jestem tylko praktyczny sobie filozof. Lecz dajmy temu pokój, zapomnijmy jakie okoliczności sprowadziły nas znowu razem. Teraz, ścieżki nasze skrzyżowały się po raz ostatni, ja zaś tobie, bratu mojego ojca, chciałbym zadać jedno tylko pytanie. Czyś szczęśliwy?

MINISTER (poępnie).

Jam stary, dom mój pusty.

JERZY.

A sumienie twoje?

MINISTER.

Poświęciłem życie dobru mojego księcia i mam dziś jego zaufanie.

JERZY.

Czy też ci wdzięcznym jest naród, którym rządzisz?



MINISTER.

On lęka się mię i unika: jam wszędzie i zawsze samotnik.

JERZY (biorąc go z uczuciem za rękę),

Biedny, biedny człowieku!

MINISTER.

Kiedyś przeczytałem był w gazetach o jakimś Winegu, mężnie walczącym na polach nowego świata.—Wyśławiano go jak bohatera, podziwiano waleczność jego. Przypomniałem wtedy mego synowca i zrosiłem łzami gazetę...

JERZY (na stronie ).

Walentyño! dopomoż mi. (zimno) Jaśnie wielmożny pan zapomina o czerwonym pudełku.

MINISTER.

O Boże! A tym czasem kiedy spojrzę na te pogodne rysy, na te oczy pełne spokoju, natenczas brat mój staje przedemną i mówi: ten człowiek nie jest złodziejem, on nie splamił naszego rodu!

JERZY (ponuro, do siebie).

On musi koniecznie poczytywać mię za przestępcę: inaczej ona zginie!... Ha! wyborna myśl! Ucieszy się, gdy się mu objawię nadzwyczajnym przestępcą.

MINISTER.

Jerzy! czyż nie możesz mi powiedzieć choć słówko, mogące rozjaśnić tę zagadkę?

JERZY (urywkowo).

Twój książę ma zamiar zawrzeć handlową umowę, z rządczynią sąsiedniej krainy?

MINISTER.

Skąd o tém wiész? Jest to nasza tajemnica, ledwie kilku osobom znana.

JERZY.

Umowa ta sprawiłaby wielki uszczerbek temu rządowi, któremu ja obecnie służę.

MINISTER.

To prawda, ależ jakim sposobem?...

JERZY.

Umowy układają się niesłychanie ostróżnym sposobem, ukrywają się one pod postacią prywatnej korespondencji baronessy Geldern, z jedną znamienitą osobą, której nazwiska wymienić mu tutaj, uważam za rzecz bezpotrzebną.

MINISTER.

Prawda... jakizby to szatan mógł...

JERZY (na stronie).

Dzięki ci Walentyno! (głośno). Pochwycić tę korespondencję było oddawna pragnieniem naszego ministra.

MINISTER (niespokojnie).

Zapewne. J tegośmy się właśnie obawiali.

JERZY.

Sama baronowa okazała się niezachwianą, niczém ując się niedającą. Kopje zaś tych listów znajdują się u niéj w biurku, w pokoju bawialnym jéj pałacyka.

MINISTER.

Daléj! daléj! cóż daléj?

JERZY.

Już to wszystko. Skończyłem.

MINISTER.

A brylanty? a twój towarzysz?

JERZY.

To pozory! Należało polityczne pochwylenie okryć maską kradzieży pospolitéj.



MINISTER.

Prawdaż to? czyliż to rzecz podobna? Wreszcie sama wiedza rzeczy nam tylko świadomych, służy za jasny dowód prawdy słów jego. Nieszczęśliwy szaleńcze! Narzędzie i ofiara nielitościwej polityki! jakież twe będą losy?

JERZY.

Zasłynę u świata złodziejem, nim z kolei zapomną o mnie.

MINISTER.

Rozmowa nasza już skończona. Przyrzekam ci święcie zachować twoją tajemnicę, nie odmawiam ci nawet spótcucia, lecz odtąd myśmy dla siebie zupełnie obcy. Mogęż ci jeszcze usłużyć choć w czémkolwiek?...

JERZY (spoglądając na okno)

Zostaw mię tutaj jeszcze przez parę dni.

MINISTER (po chwilowém milczeniu).

Dobrze. (postępując ku drzwiom). Jak będziesz za morzem, daj mi wtedy wiadomość o sobie.

JERZY.

Chętnie.—Napiszę list. (minister wychodzi). Przykro mi było zwodzić osiwiąłego starca, lecz go uspokoiła ta myśl, że jestem politycznym przestępcą. Bądź zdrów stryjasku! Wygrana z mojej strony. Nikt już z nich ani się domyśla istotnej tych wypadków przyczyny. Zaiste, anim sobie wyobrażał, iż tak łatwo oszukać się uda. A Walentyna? Teraz ona jeszcze udęczona, przelekniona, nim stąd zniknę bez hałasu, cichutko. A wówczas wolne dla niej otworzy się pole nasycania się przyjemnościami życia. Ach! krata u okna zaczyna się pozłacać, musi być wieczor przecudowny! (siada na ławeczce, i półgłosem nuci jakąś piosenkę, pobrzękując kajdanami jakby niemi akkompaniując).

(Drzwi się otwierają podczas jego śpiewania. Walentyna wchodzi i długo nań spogląda, nareszcie kładnie rękę na jego ramieniu i cicho płacze).

JERZY (z cicha z uczuciem).

Walentyna.

WALENTYNA.

Drogi mój przyjacielu! (opiera się na jego ramieniu i płacze).  
Zalfeldzie! cożeś to uczynił?

JERZY.

Rzecz konieczną. Nie płacz, ja siebie nie uważam za nieszczęśliwego.

WALENTYNA.

Alem ja nieszczęśliwa, poświęcenie się twoje obraca mię w nicość.

JERZY.

Nie martw się, nie gniewaj się na mnie: to co nazywasz ofiarą, było tylko dla mnie jedynym z wielu ustępów różnobarwnego mego życia, obrazkiem czarodziejskiej latarni, której tylko jeden obraz nie usunie się nigdy z méj pamięci. Z mojej strony było niedorzeczném dziwactwem ukazanie się we własnym kraju pod przybraném nazwiskiem Zalfelda. Teraz sprawiam przyjemność czytelnikom tutejszych gazet, ukazując się zajmującym łotrem. Otoż i wszystko. Może zostanę z czasem bohaterem jakiego romansu w najnowszym, terazniejszym guście, może też kto ukleci z tych dziejow moich dramat! I jakież w tém niebezpieczeństwo? Od dziś dnia zrzucam imię Zalfelda, jakby suknię splamioną błotem i rzezko puszczam się w dalszą podróż pod nazwaniem Jerzego Winega. Tak więc nie widzę w tém dla siebie żadnej ofiary.

WALENTYNA.

Nie, mój przyjacielu, nie zwodź mię. Cóż poczniemy z sobą?

JERZY.

Musimy się rozstać. O tém jedném okropnie mi pomyśleć.



WALENTYNA.

Rozstać się?...

JERZY.

Tak, rozstać się, i to na zawsze.

WALENTYNA.

Coż stanie się zemną, jeżeli tutaj pozostanę. z dręczącym wspomnieniem o poświęceniu się twojemu, w tym bez czucia motłochu, który się mi teraz wydaje i czczym i nie-nawistnym nawet.

JERZY.

Wspominać o mnie będziesz pani, może i kochać. We wspomnieniach o odległym przyjacielu znajdziesz moc utworzenia szczęścia dostojnej swój przyjaciółki. Potem Walentyno, opuść ten dwór, wyjeżdżaj stąd, udaj się do Włoch, tam u Ledy Penelopy, znajdziesz szczerze kochające cię serce i pełne świeżości życie. Przyznaję się, teraz że wyjeżdżając z Syrakuzy, obiecałem twym przyjaciółom pani, nakłonić ją do opuszczenia tej krainy. Powiedz Ledy Penelopie, że ja panią posyłam jak siostrę, jak siostrę Jerzego Zalfelda.

WALENTYNA.

Może też i pana zobaczę tam kiedykolwiek u niej?

JERZY (wstrząsając głową).

Tam mię zowią Zalfoldem. a ten człowiek powinien zniknąć.

WALENTYNA.

O! Boże! A coż się stanie z tobą, szlachetny, zapierający się samego siebie człowieku?

JERZY (bierze jej rękę i ukazuje w górę).

Ja zniknę cicho i nieznacznie, jak ten oto promień słoneczny znika z żelaznej kraty. Kiedy ten promień trzykrotnie tu zagaśnie, ja za nim pójde, moja podróż już urządzona, mój wierny szatan stąd mię daleko uniesie.

WALENTYNA.

A gdzie się udasz?...

JERZY.

Pójdę w ślad za słońcem. Ono zachodzi tutaj, lecz wschodzi na zachodzie. Udam się tedy na zachód.

WALENTYNA (smutno).

Do Ameryki?

JERZY.

Do przybranéj ojczyzny mojej.

WALENTYNA.

(wstrzymując gwałtowność swego uczucia).

Tyle przynajmniej mam pojęcia, ile należy uszanować cię i opłakiwać nie dołę moją. Teraz Zalfeldzie, pierwój niżli się rozstaniemy, odpowiedz mi na jedno zapytanie i szczerze i zupełnie. Czy mi to przyrzekasz?

JERZY.

Przyrzekam.

WALENTYNA.

Jak wysoce to cenisz, co ludzie nazywają dobrém imieniem kobiety?

(Jerzy odwraca się.

WALENTYNA.

Ja wymagam odpowiedzi.

JERZY.

Dobre imię jest bardzo piękną ozdobą. Poczytuję za nieszczęście utratę jego.

WALENTYNA.

Uchylasz się widocznie od stanowczej odpowiedzi. Pozwólże mi dokończyć to, co sam myślisz, co ja sama głęboko uczułam w te ciężkie i przykre dni. Dobre imię



kobięty nie jest wcale jęj godnością. To jest tylko złocista tarcza, pod którą lubi się skrywać pospolita mierność. Jeśli kto się ośmieli wznieść głowę wyżej tłumu, wnet nań napadną, spotwarzą go, zarzucają błotem, tak właśnie, jak i pogardzoną istotą upadła niżęj powszechnego społecznego poziomu. Cóż to za dobro, które mogą mi odjąć lada czyje usta, złość lub błędny sposób widzenia każdego głupca? Zalfeldzie, taka godna litości ozdoba nie warta jest istotnej ofiary.

JERZY (z wyrzutem).

Walentyno!

WALENTYNA (namiętnie).

Od pierwszego razu, jakem cię ujrzała, uczułam, że nas połączy tajemny jakiś związek, dla tego, żeśmy oboje, ja arystokratka i ty, syn tłumu, my oboje, należymy do wielkiego związku ludzi, dążących ku postępowi i swobodzie, ku wzniosłemu uszczęśliwieniu ludzkiego rodu. Do tego związku należą ci wszyscy, którzy stanowią ozdobę naszego wieku, żołnierze, proroki, męczennicy prawdy. My powinniśmy żyć w sercach tych spółbraci naszych; być pojętami i ocenionemi przez nich; oto jedyny, godny cel dla naszej obecnej dumy.

JERZY.

Tak, Walentyno!

WALENTYNA.

Nie powinny nas mięszać sądy lekkomyślnego tłumu; on zwykle kończy na tém, że nareszcie idzie za nami; wszakże my to posuwamy go naprzód i wskazujemy jemu drogę. A przed sądem tych wznioślejszych umysłów, ofiara twoja nie byłaby pochwalona. W ich oczach ja i bez nięj nicbym a nic nie straciła. I coż zrobiłam złęgo, przyjąwszy u siebie bezwinnie kochanego człowieka? A ty, żeby mię

ocalić i uspokoić od chwilowego przestרחu, którego się teraz wstydzę; ty naraziłeś, poświęciłeś swe życie, potrzebne społeczności. Wyznaj, żeś na ten raz był niesprawiedliwym mój przyjacielu!

JERZY.

Nie trap mię próżno Walentyno! Gdybym był obywatelem téj krainy, któremu dobre imię potrzebne dla służenia ojczyźnie, mogłabyś mieć wtedy jakąś słuszność. Lecz jam swobodny jak ptaszek; ja przelatuję tam, gdzie mię zwabia przyrodzenie. W obcych krajach mam wszelkie prawo wybierać sobie obowiązki.

WALENTYNA.

Chcesz mię omamić Zalfeldzie, ukrywasz przedemną gorszą stronę twego zacnego, lecz nierozważnego postępku. Na twojem życiu zostanie jakby czarna plama, przekleństwo, od którego nawet silny charakter twego ducha wywikłać się nie będzie w stanie. Każdy wędrowiec, każda gazeta wydać cię może; i marnie zginiesz w uporczywej ale daremnej walce z gwarem nielitościwych lubiących szkalować bliźniego językow ludzkich.

JERZY.

Przyjaciółko moja! Ameryka daleko. A jeśli kiedykolwiek tam dojdzie brudna powieść mojego życia, skryję się wówczas w obszerne fale stepowej trawy i ucieknę do chat przyjaciół moich Indjan, z którymi często polowałem na bawoły. Przyłączony jestem do jednego z ich plemion i noszę jego znamię. Tam znalazłem pierwszą moją ojczyznę, tam może znajdę i ostatnią. Stary wódz nazywa mię synem swoim. Ja mu powiem:—Mój ojczu, tam na wschodzie, zaszedłem w nocy do chaty kobiety, wezwany przez nią dla porady, pojmano mię, kobiecie téj zagrażała hańba, wtedy ja schowałem jéj klejnoty w swój pas,



i udałem, że jestem złodziejem, żeby tylko ocalić ją od nie-  
sławy. Wówczas starzec poda mi pstrą odzież swego ple-  
mienia i powie:—mój syn prawdziwie kochał tę kobietę,  
mój syn postąpił dobrze.

WALENTYNA.

Nie, nie. Starzec zapyta: czyliż ta kobieta milczała,  
czyliż ścierpiała, aby jej młodzian powszechną był oto-  
czony pogardą?

JERZY (kłękając przed nią).

Jam od niej wymagał milczenia na dowod miłości jej;  
ona płakała lecz milczała, bo kochała mię.

WALENTYNA.

Czy tak? mój przyjacielu! O! wyście wszyscy tyrani, na-  
wet i wtedy, kiedy cierpicie za nas. Przyrzekam ci robić  
to tylko, co sam pochwalić będziesz w stanie (schylając się ku  
niemu). Jerzy! wczora odebrałam ci wstęgę, którąś pochwy-  
cił u mnie, teraz przynoszę ci ją na powrót, patrz! jeszcze  
są na niej ślady gorących łez moich! (daje mu wstęgę). Tak  
więc, obieram cię przez to Walentynem moim: służ mi  
i jeszcze cierp dla mnie. (całuje go w czoło).

JERZY (schyla się ku jej ręce).

Dzięki ci Walentyno!

WALENTYNA.

Bądź zdrow. (zwołna, patrząc nań, odchodzi).

## AKT V.

## SCENA I.

(Pokój bawialny w pałacyku baronowej. Walentyna u stołu przerzuca papiery. Robert stoi u drzwi: Joanna z drugiej strony z kartonem w rękach)

JOANNA.

Co pani raczej dzisiaj włożyć we włosy, kwiaty czy wstęgi?

WALENTYNA (blada i spokojna)

Nie mi dziś nie potrzeba, Joanno! (do Roberta). Czy odniesiono moje listy?

ROBERT.

Tak, pani. JO. księżniczka Marja sama raczyła wziąć pismo i powiedziała, że osobiście przyniesie na nie odpowiedź. Pan minister w gabinecie z jego książeczą mością.

WALENTYNA

A czy prosisz pana porucznika fon Sztolpe, żeby mię odwiedził?

ROBERT,

Pan porucznik będzie miał zaszczyt przedstawić się JW. Pani.

WALENTYNA.

Rzeczy moje czy spakowane?

ROBERT.

Spakowane, pani.

WALENTYNA.

Dobrze. Robercie, spał-no te papiery.



ROBERT (odchodzi).

JOANNA.

Oto jest order pani.

WALENTYNA.

Połóż go tu na stole.

JOANNA (przynosi czerwone pudełko).

A oto i brylantowe zausznicze.

WALENTYNA.

Precz z nimi! palą mi tylko oczy.

JOANNA (niemal płacząc).

Ani wstęgi, ani żadnej ozdoby. Doprawdy, tak dzisiaj wszystko pani robisz, jakbyś się gotowała na śmierć.

ROBERT (wchodząc wzdryga się na te słowa).

To grzech tak mówić.

WALENTYNA.

Czy tak sądzisz? Robercie! Joanno! pójdź i weź te brylanty.

ROBERT.

W przedpokoju stoi człowiek podejrzaną powierzchności, pragnący pomówić z panią.

WALENTYNA.

Jam teraz zajęta. Jeśli żąda pieniędzy, daj jemu.

ROBERT,

Żadnym sposobem odejść nie chce i powiada, że nie przyszedł prosić jałmużny, lecz chce o czémś pomówić z panią.

WALENTYNA.

Przyprowadź go tutaj.

BENJAMIN

(odziany jak w akcie 1-m, z ciągłymi ukłonami).

Najpokorniejszy sługa JW. Pani.

Walentyńska.

10

WALENTYNA.

Jaki cię powód sprowadza tu do mnie?

BENJAMIN (znowu się klaniając).

Gdybym mógł, z łaski JW. Pani, pomówić z nią na osobności.

WALENTYNA.

Zostaw nas samych Robercie.

ROBERT (odchodzi).

BENJAMIN

(spoglądając na nogi odchodzącego Roberta).

Zaraz zgubisz, mój panie, sprzążkę u lewego trzewika, a te sprzążki podobno są srebrne.

WALENTYNA.

Kogoż przed sobą widzisz?

BENJAMIN (zawsze z ukłonami).

Mam zaszczyt oświadczyć JW. Pani, że ja... śmiem objawić... z przeproszeniem mówiąc... jestem sobie... złodziej.

WALENTYNA (cofa się wstecz).

BENJAMIN.

Niech się JW. Pani raczy nie lękać, bo już ja teraz opuściłem to szkaradne rzemiosło. Ja teraz, śmiem oświadczyć JW. Pani, jestem na usługach u pana Zalfelda.

WALENTYNA.

Co? a jakaż przyczyna, sprowadziła cię tutaj do mnie?

BEJAMIN (pokornie).

Niech tylko JW. Pani, dozwoli mi wypowiedzieć wszystko. (wyjmuje z zanadra pstrą chustkę, w której obwinięty jest biały chleb). Mam zaszczyt przedstawić JW. Pani tę bułkę. W niej zapieczone są niektóre fraszeczki. Naprzód: cieniutka piłka, powtóre: piętnaście łokci powrozka przeplecionego z drutem, potrzenie i poostatnie: nóż. Piłką rozpiłuje on kratę u okna, na powrozku spuści się, a nóż (z wyrazistym gościem i najgrzeczniejszym ukłonem), nóż, posłuży mu w razie nieprzewidzianych wypadków.



WALENTYNA (z żywością odsuwając bułkę).

Na jakiejż to zasadzie, obrałeś mię za powiernicę takiego zamiaru?

BENJAMIN.

Nie racz gniewać się JW. pani. Przymusiła mię do tego konieczność. Wczora udało się mi, wcisnąć się do więzienia mojego pana. On powiedział mi: za dni parę chcę być wolnym mój przyjacielu (z uśmiechem zadowolenia) bo uważ tylko JW. pani, on mię zawsze nazywa przyjacielem, skoro tylko być raczy w dobrym humorze,— ja wtedy rzeknę: jak podoba się wielmożnemu panu. I wnet poszedłem do żyda, sprzedałem swą liberję, kupiłem piłkę, sam uplotłem powrozek z drutem, poruczyłem Lenie, jednej z mych przyjaciółek, wszystko to razem z nożem zapiec w bułce, a gdy to skuteczniła, chciałem całą tę fraszeczkę wręczyć mojemu panu. Aż tu jak napadnie namnie łotr policjant, jak poczne mnie lżyć grubijańsko, zapomniawszy na dawną naszą przyjaźń; jak krzyknie: co! ja mam dla ciebie, najsurowsze, wydane teraz, łamać rozkazy, i narażać się na utratę miejsca dla kiepskiej łaski twojej!... tak ja ze strachu drapnąwszy co tchu, pomyśliłem sobie o jaśnie wielmożnej pani.

WALENTYNA.

Jeszcze raz zapytuję, dla czego mianowicie zwróciłeś się do mnie?

BENJAMIN.

Bo to widzi JW. pani. Wczoraj o zmierzchu, skryłem się w pobliżu więzienia i zobaczyłem jakąś kobietę, zastonioną grubym woalem, za którą szedł lokaj. Weszła do więzienia i wkrótce z niego wyszła. Ja tuż za nią w tropy i ujrzałem, jak weszła do tego pałacyku. Otoż tedy sobie pomyśliłem, że to być musi jakaś kobieta z orszaku JW. pani, której zachciało się pomówić z moim biednym panem, bo to wszyscy a wszyscy znają mego pana u dworu. I wtedy pomyślałem sobie znowu, że może JW.

pani będzie taka łaskawa, iż potrudzić się raczy i rozpyta która to była z jej kobiet i pozwoli jej zanieść tę bułkę do więzienia.

WALENTYNA.

I nie poznałeś sam tej kobiety?

BENJAMIN (pokornie).

Niemogłem przypatrzeć się twarzy, bo już bardzo ściemniało.

WALENTYNA.

I nie wiesz z pewnością, kto ona?

BENJAMIN.

Na biedę moją, nie jestem w stanie powiedzieć tego JW.. pani.

WALENTYNA (bystro patrząc mu w oczy).

A mnie już znajoma twarz twoja: nie pierwszy to raz jesteś w tém miejscu.

BENJAMIN

(wstrząsa się, lecz potem stara się mówić łagodnie i spokojnie).

Nie pojmuję, co chce przez to powiedzieć JW. pani.

WALENTYNA.

Tyś przytrzymał pana Zalfelda, z jego własnego rozkazu.

BENJAMIN (ze zdziwieniem).

Istotnie nic a nic nie rozumiem tego, o czém mówi JW. pani.

WALENTYNA (tkliwie).

Łotr! a ileż to przywiązania i delikatnego uczucia, a przytém rostopnej przezorności.

BENJAMIN.

Ośmielam się przełożyć JW. pani, że się tylko poświęcałem na mocy zawartej ze mną umowy, a w policyjnych sprawach nasz brat zazwyczaj odznacza się niepospolitą przezornością.



WALENTYNA.

Od jakiegoż to czasu znasz już pana Zalfelda?

BENJAMIN.

Zaledwie od dni kilku. Chusteczka jedwabna, wyste rkająca mu z kieszeni, stała się pośredniczką znajomości naszej. On mi natenczas powiedział:—tyś przez całe swe życie był łajdakiem Benjaminie! (z ukłonem pokazując palcem na siebie), to jest ja JW. pani,—lecz to tylko tak się wydaje na pozor, a właściwie mówiąc, tyś w gruncie poczciwiec, i wcale nieźle wykształcony, sam możesz tego nie dostrzegł, zajmując się bez przerwy kradzieżą.—To mię, przyznam się JW. pani, zdziwiło, alem dorazu nie zupełnie jemu uwierzył; on zaś tak dalej odezwał się do mnie:—Jeśli zgodzisz się posłużyć u mnie trzy dni, lecz posłużyć uczciwie, to ja ci dowiodę téj prawdy.—I patrz pani, nie omylił się wcale, trzy dni przebyte u niego na służbie dowiodły, że m zupełnie nie taki niegodziwiec, jak się mi wprzód zdawało, (uśmiechając się) co mię też wielce ucieszyło.

WALENTYNA (do siebie)

To tak ty umiesz leczyć schorzałych, zacny i trafny lekarzu!

BENJAMIN.

Jeszcze nie minęły trzy dni i posadzono go do więzienia, a to z mojej przyczyny. bo ja, jak najgłupszy osioł, tam na dole rozwrzeszczałem się na całe gardło. (postrzega się i wzdryga). Przebacz JW. pani, że się tak znieacka wyrwałem nie wiedzieć z czém... On mię nauczył poczciwości, a ja go wszędzie rozgłosiłem za złodzieja. To haniebnie, to niesprawiedliwie. Obowiązkiem moim jest poprawić całą tę niedorzeczną sprawę.

WALENTYNA (z dobrocią).

Benjaminie, spodziewam się że ci się, uda poprawić tę sprawę. Lecz ja nie wezmę twojej bułki. Nie, bądź spokojny wierny słuگو, twój pan za kilka godzin będzie wolny.

BENJAMIN.

To zapewne JW. pani masz także u siebie pitkę?

WALENTYNA (z uśmiechem).

Na to piłki nietrzeba, Benjaminie; wszakże niedorzecznością byłoby uważać twego pana za złodzieja.

BENJAMIN.

Jak to? JW. pani chcesz, ażeby on nie sływał jak złodziej?

WALENTYNA.

Czas już położyć koniec tej poniżającej omyłce.

BENJAMIN (z przest్రachem).

Lecz... jednakże... jeśli się dowiedzą, że on nie złodziej, policja wtedy spyta, po co on tutaj?... tu... (Walentyna odwraca się, Benjamin mówi dalej poufnie). O! nie czyn tego pani!.. jemu będzie boleśnie... bardzo boleśnie... Raczęj polegaj na mnie, ręczę że go wyswobodzę, na przekorę choćby sęciom policjantów. Polegaj, proszę JW. pani na mnie i na tój bułce.

(Muzyka... wesola serenada slyszęć się daje w przeciagu następnęj sceny, lecz w oddali, nie hucznie).

ROBERT (wchodzi.)

Jego książęca mość z całym swoim orszakiem idzie tu przez aleję. Muzyka przysłana przez J. Ks. mość, aby obchodzić uroczystę powrót do zdrowia JW. pani!

WALENTYNA,

O! bądź spokojne moje serce! Benjaminie, nie mogę spełnić twojęj prośby, zostaw mię teraz, a jeśli kiedykolwiek w życiu potrzebny ci będzie przyjaciel;... przyjdź wtedy prosto do mnie.

BENJAMIN.

JW. pani dobrą jesteś jak Anioł, lecz dopóki mój biędny pan będzie siedział w więzieniu, dopóty jam nieszczęśliwy, zgubiony człowiek!



KSIĄŻE, MINISTER HRABIA WINNEG, MARSZAŁEK DWORU,  
PORUCZNIK FON SZTOLPE, DWORZANIE. (każdy, prósz ministra z różą  
u kapelusza i w petlicy).

KSIĄŻE.

Wietrzni synowie Maja, oddają pokłon swój królowej.  
Prześliczna monarchini! zaszczyćcie nas miłościwym uśmie-  
chem! Boleśny był dla nas ów dzień, któryśmy przebyli  
bez ciebie. Przywiodłem także szanownego mego Nestora,  
chronię się od niego, przywodząc go do stóp twoich, dla  
tego, iż on znowu rozpoczął długie roztrząsania o nieszcze-  
śliwej owój sprawie ze złodziejami.

WALENTYNA.

Z żalem wyznaję, że i ja muszę utrudzić jeszcze W. Ks.  
mość w tymże przedmiocie.

KSIĄŻE.

Mój Boże! wszakże sprawa już całkiem zakończona.

WALENTYNA.

Wspomnę o niej już po raz ostatni.

KSIĄŻE.

Jakże to uroczyście wymawiasz, prześliczna baronowo  
Zgoda wreszcie, z pokorą ulegam twój woli. (siada, wszyscy  
dworzanie szykują się za jego krzesłem.)

WALENTYNA.

Pozwolisz W. Ks. mość, abym ja w tymże celu wezwa-  
ła wszystkich mych domowników?

KSIĄŻE.

A toż to będą formalne, jak uważam, sądy! Lecz czyń  
królowo nasza! co się tylko tobie podoba.

WALENTYNA.

(daje znak Robertowi, ten otwiera drzwi i wszyscy służący baronowej  
obojęj płci, wchodzą nie czyniąc najmniejszego prawie szelestu.)

Chcę dziś objaśnić W. Ks. mości i wszystkim tu w ogól-  
ności obecnym, wypadki przeszłej nocy. Objasnienie to

spóźnione zostało jedynie dla tego, że nie zależało zupełnie od własnej woli.

KSIĄŻE (do Winnega z cicha).

O czém to ona chce mówić?

WINNEG.

Jakiś nowy kobiecy kaprys.

WALENTYNA.

Dwóch ludzi schwymano w tym salonie. Obadwa przyznali się do występku. Jeden z nich wszakże był niewinny. Dobrowolne jego przyznanie się, było skutkiem szlachetnego zmyslenia, do którego się uciekł, żeby ocalić sła wę swoją. Pan Zalfeld był u mnie już pierwój, nim się włamali złodzieje, był zaś u mnie, wezwany przezemnie samą.

KSIĄŻE. (żywo powstając).

To być nie może!

WALENTYNA.

W razie potrzeby gotowam stwierdzić przysięgą, prawdę słów moich. (wyjmuje z pudła drabinkę i rzuca ją na posadzkę): Oto dowód! Drabinka, po której dostał się na balkon! (Powszechny szmer. Książę oburzony wstaje i śpiesznie wychodzi. Dworzanie z nim. Studzy też i slugi Walentyny oddalają się w milczeniu).

MINISTER. (całując rękę Walentyny).

Dziękuję ci baronowo, twoja wspaniałomyślna otwartość wróciła mi krewnego, a naszemu krajowi z czasem najchlubniejszą nadzieję. (wychodzi).

WALENTYNA.

(zostaje nieruchoma. Robert stoi u drzwi i twarz zakrywa rękami. Muzyka po odejściu ministra, gra jeszcze kilka taktów, a potem urywa znienacka na przykrym dyssonansie).

WALENTYNA (po niejakiem milczeniu,)

Siadaj Robertcie przy stoliku, podyktuję ci krótkie obwieszczenie do naszej gazety: postaraj się żeby to wydrukowano nazajutrz.



ROBERT, (siadając, smutnie).

Gotowym pani baronowo!

WALENTYNA. (dyktuje).

Tajemnicza pomroka, okrywająca nocny wypadek, w jednym z książęcych pałaców, rozjaśniać się zaczyna. Przekonano się, że szlachetny cudzoziemiec pan Zalfeld, poświęcił się sam dobrowolnie, z bezprzykładnym zaparciem się własnej godności.

ROBERT.

Z bezprzykładnym zaparciem się...

WALENTYNA.

Przy zbiegu nieszczęśliwych okoliczności.

ROBERT.

Okoliczności.

WALENTYNA.

Żeby ocalić sławę powszechnie znajomej damy...

ROBERT.

Nie, pani baronowo, co tego, to już nie napiszę, ja drzę już cały. Mój Boże! zastanow się tylko pani, wszak to widoczny wyrok śmierci na twoje dobre imię.

WALENTYNA.

Moje dobre imię, Robercie?

ROBERT.

Nie inaczej p. baronowo! Dawno już ciebie osypywano potwarzami, nieraz moje serce mocno z tego powodu bolało, lecz wtedy rzecz tylko szła o jednego księcia i pani mogłaś go kochać, teraz zaś będą już czernić i drugiego.

WALENTYNA

(zasłania oczy rękami i milczy. Później mówi stanowczo).

Pisz Robercie!

ROBERT.

Nie mogę.

WALENTYNA.

To ja napiszę sama. (czyta). Poświęcił siebie, aby (pisze).  
*ocalić sławę powszechnie znajomej damy.* (kłada pióro  
na stole). Ta powszechnie znajoma dama, to ja!... Robercie!  
zanieś niezwłocznie tę kartkę do drukarni.

ROBERT,

Idę... Boże mój! Boże! nigdy mi niebyło tak ciężko speł-  
nić rozkazy twoje pani!

SŁUGA (oznajmując).

Pan marszałek dworu fon Gurten.

MARSZAŁEK (urzędowym tonem).

Baronowa fon Geldern, imiennym rozkazem panującego  
księcia usunięta jest od obowiązku damy dworu jój do-  
stojnej księżęcej mości Marji.

WALENTYNA (dumnie).

Słyszałam.

MARSZAŁEK.

Z rozkazu jój księżęcej mości przybyłem tu z żądaniem  
zwrótu krzyża, orderu ś. Marji.

WALENTYNA (bierze ze stołu order i podaje mu).

Proszę wziąć.

MARSZAŁEK.

Jój księżęca mość rozkazała mi zapytać, kiedy pani ma  
zamiar wyjechać stąd?

WALENTYNA.

Za godzinę. Prosiłam o łaskawe pozwolenie pożegna-  
nia jój księżęcej mości.

MARSZAŁEK.

Jój księżęca mość rozkazała jój życzyć szczęśliwój po-  
dróży. (odchodzi)

WALENTYNA

(do Roberta, smutno stojącego u drzwi)

Robercie! Dodaj jeszcze przypisek do gazetowego obwie-  
szczenia. *Baronowa fon Geldern, usunięta od swoich  
obowiązków, opuszcza stolicę.* (Wychodzi. Robert za nią).



JERZY, FON SZTOLPE, BENJAMIN.

FON SZTOLPE (za sceną).

Stosownie do rozkazu JW. Ministra.

JERZY (pośpiesznie).

Czemużes mię tutaj przyprowadził, mój panie?

FON SZTOLPE.

Powtarzam ci, panie Zalfeld jesteś wolny: mam poruczenie objawić mu, że zwierzchniczej władzy już wiadome są przyczyny, które pana skłoniły do dziwnego przyznania się...

JERZY.

I ktoż mógł przedstawić te niepojęte dla mnie objaśnienia? Co mogło ocalić od prawnego wyroku przestępcę, dobrowolnie wyznającego winę?

FON SZTOLPE.

Nie wolno mi odpowiadać na te wszystkie pytania. Jego książęca mość objawił swe żądanie, aby sprawy pańskie w stolicy, skończyły się ile możności i pomyślnie i prędko.

JERZY.

Rozumiem: w tych dniach odjadę niechybnie.

FON SZTOLPE (wychodzi z ukłonem),

BENJAMIN.

(biegnie radośnie ku Jerzemu i chwyta go za rękę).

Ach! panie! jakem rad, żeś już nareszcie wolny! Wielmożny pan, tak mi przyłgnałeś do serca. Spodziewam się, że nie opuścisz mię teraz w szczęściu swoim?

JERZY.

W szczęściu? Mylisz się, mój przyjacielu.

BENJAMIN (tajemniczo).

Dzisiaj, dzisiaj, widziałem ją!



JERZY.

Kogo.

BENJAMIN (z cicha).

Baronowę. Stała taka białutka, blada, z uśmiechem na ustach. Doprawdy! jakby święta jaka!

JERZY.

Milcz Benjaminie! Pójdź do radzcy Millera, rozpowiedz mu o wszystkiem, co się tu stało, weź u niego moje papiery, powiedz mu aby mi wybaczył, jeśli nie przyjdę pożegnać się z nim przed wyjazdem. Idźże, idź mój Benjaminie. (Beniamin smutny, odchodzi).

JERZY (sam).

Odrąciła moją ofiarę i poniżyła się dobrowolnie, stanęła bezwinnie u pręgierza pośmiewiska, i odtąd motłoch, z szyderstwem, palcami wytykać ją będzie. A to wszystko uczyniła dla tego! aby mi nie być w niczém obowiązana! Oderwałaś się więc odmemnie Walentyno, teraz zostanę ci tylko przyjacielem, który sprawił tobie wiele, wiele przykrości! Jak biedny chłopak patrzy z żalem na odlatującą ptaszynę, która się jemu z rąk wymknęła, tak mnie dziś pozostało spoglądać bezsilnie za twym swobodnym polem. Straciłem cię, dumne serce, i płaczę nad tém, jakby dziecko! (zakłada ręce na krzyż i smutno zwiesza głowę na piersi).

WALENTYNA (u drzwi).

Zalfeldzie!

JERZY (podnosi głowę, jakby oczucony).

Okrutna! jeszcze mię nie pozbawia goryczy ostatniego rozstania!

WALENTYNA.

(z przytłumioném wzruszeniem).

Zalfeldzie! wybiła godzina naszego rozrachunku.

JERZY.

Rachunek już ten skończony.



WALENTYNA.

Tyś śmiało wcisnął się w życie moje z ufnością człowieka, nawykłego pokonywać wszystko. Tyś wstrząsł całą mą istotą; moja kobięca duma obrażona została, moja dusza przepelniona boleścią i goryczą! Nie mówię tego, byś w tém nie miał słuszności. Ty mi stałeś się lekarzem, tyś mię uleczył, poniżywszy mię we własnych oczach moich,

JERZY.

Prawda: w tém cała moja wina. Stałem się twardym nietościwym, z powodu burzliwego mojego życia. Zdołałem zasłużyć sobie wdzięczność ale nie miłość twoją!

WALENTYNA.

Kiedys mi odkrył oczy względem fałszywego położenia mojego u tego dworu, jużem ci była zadłużona, jużem się czuła i słabą i nic nie warta przed tobą. Naówczas poświęciłeś mi jeszcze swój honor i swobodę a ten dług stał się już dla mnie za nadto ciężkim.

JERZY.

Stał się za nadto ciężkim!

WALENTYNA.

Tak więc, kiedys mi poświęcił swój honor, ja z mojej strony poświęciłam ci za to dobre me imię. Powiedzże mi Zalfeldzie, czylim ci spłaciła częśćkę mojego długu?...

JERZY.

Jużeśmy się zupełnie skwitowali.

WALENTYNA.

Dziękuję ci: tyś mi wrócił uczucie własnej godności mojej, którem była straciła względem ciebie. Spętałeś mię silnemi więzami, alem się z nich otrzęsła. (Radośnie). Teraz, Jerzy, jam wolna!

Walentyna.

JERZY.

Tak, pani, jesteś wolna. Moja boleść jest samolubna, płaczę, żem nie zdołał utrzymać ciebie. Lecz choćby nie wiedzieć jak mi było i boleśnie i ciężko!... muszę, powinienem przyznać, że twój postępek pani, jest wzniosły i szlachetny. Teraz się z sobą rozstaniemy; pomyślże o mnie, proszę, każdego razu, gdy ujrzysz nieszczęśliwego. Unoszę z sobą, w strony obce, dręczące mię uczucie, boś ty przezemnie ciężkiemu uległa strapieniu. Zatrąłem ci życie na długi czas boleścią, a może nawet i na zawsze! zerwałem więzy, przykrywające cię tutaj, zrobiłem z ciebie wygnankę:—wiem że zostaniesz mą przyjaciółką, lecz już mię kochać nie możesz, bo dzisiaj, poświęcając siebie, by ocalić mój honor, oddając się dobrowolnie na pastwę sztyderstw i potwarzy zawsze ślepego i niegodnego tłumu!, tyś przez to mimowolnie, bez własnej może nawet wiedzy, zgładziła, starta tajemnemi łzami wszelki ślad tkliwszego uczucia, które być może, miało już i zarodek w pięknej twój duszy. Zrobiłem poniewolnie to, co powinno zniszczyć miłość kobiety, wydałem cię niesławie! (bierze ją za rękę). Powinniśmy z sobą się rozstać.

WALENTYNA.

My się nie rozstaniemy z sobą Jerzy!

JERZY.

Co słyszę?

WALENTYNA.

(obejmując go i padając przed nim na kolana.)

Jerzy! ja kocham ciebie! weź mię, rozrządzaj mną ja twoja! twoja i teraz i na zawsze. Gdzie ty pójdziesz, i ja pójdę za tobą i twój cel będzie moim celem, twoja ojczyzna ojczyzną moją

JERZY.

O! Boże mój!... (podnosi ją). najdroższa żono! (obejmuje Walentyne).



WALENTYNA.

Tak, jam twa żona! Pragnęłam być żoną nie zaś niewolnicą twoją! czyż mniemasz żebym mogła pozostać przy tobie swobodna i silna, jaką być powinna wybrana twe-go serca, czując na duszy nieszczęsny ciężar twój ofiary? Gdybym milczała, jak chciałeś, byłabym słaba, nikczemna, niegodna wielkości twojej! Tybyś mię może kochał, lecz nie mógłbyś szacować, mnie zaś więcej uszczęśliwić zdoła szacunek kochanego mojego, niżeli nawet jego czułość. Teraz swobodna, powierzam ci swobodne życie moje. Jam twoja!  
(ścisła go).

JERZY.

Towarzyszko moja!

WALENTYNA.

Kocham cię od pierwszj chwili ujrzenia ciebie lecz teraz pysznić się mogę mém uczuciem: nabyłam je ceną wielu udręczeń. (cicho). Jerzy, gdy sama zniweczyła me dobre imię i wszyscy odstępili odemnie, jakby od widma, wtedy uczułam ból srogi, lecz pomimo niego, byłam silna, bom myślała o tobie.

JERZY.

Tyś święta!

WALENTYNA.

Uwieź mię stąd, Jerzy. Dusza moja dawno się już rwała gdzie indziej; wyzdrowię przy tobie i pod inném niebem.

JERZY.

Zawiozę cię do Włoch, do przyjaciół twoich, i gdy się rana twoja zagoi, wtedy wrócimy do ojczystego kraju.  
(ścisła ją).

MARJA (część okryta zasłoną staje u drzwi).

Walentyno!

WALENTYNA.

Marjo!

MARJA (ikając rzuca się jej na szyję).

Bądź zdrowa siostró moja! (podaje rękę Jerzemu). Niezapomnijcie o mnie!

(Grupa, zasłona spada)

